PRIVATE PRESS

Przytoczę kilka artykułów, które pojawiły się w różnych miejscach, a których skany są rozsiane po poszczególnych projektach, wraz z własnymi dopiskami uzupełniającymi, poczynając od najstarszego, z roku 2002

2002

Tekst który chce zaprezentować, jest artykułem, który pojawił się w wydaniu specjalnym Oławskiej Gazety Powiatowej. Po pierwszym Oławskim przeglądzie muzyki alternatywnej, wówczas Niediscopolowej, pani Anna Borkowska, przeprowadziła ze mną wywiad a propos mojego pierwszego pół godzinnego koncertu podczas owego przeglądu. Miałem wtedy 14 lat, a koncert miał miejsce w oławskim ośrodku kultury we wrześniu 2002.

SAMUEL MUZYKANT

Kiedy Samuel Serwata miał dwa latka, rodzice kupili mu małe organki na cztery oktawy. Z pasją tłukł w zabawkę jednym palcem, a potem już całą ręką. Za kilka lat chciał się uczyć w szkole muzycznej, w klasie fortepianu. Za pierwszym razem nie dostał się. Podobnie za drugim i trzecim. Ale to go nie zraziło. Teraz jest uczniem Szkoły Muzycznej II stopnia w Opolu.

U nich w domu zawsze była muzyka. Mama Samuela grała przez jakiś czas na akordeonie, ale jak twierdzi, nic z tego nie wyszło, bo grała tylko dwa miesiące, i to było "sto lat temu". Tata Ernest gra ze słuchu, na wielu instrumentach muzycznych. Czasami pisze też awangardowe, surrealistyczne wiersze - tak je sam określa. - Pamiętam, że Samuel był jeszcze w przedszkolu, całymi godzinami potrafił siedzieć przy magnetofonie szpulowym i z zapałem słuchać utworów Pink Floyd - opowiada mama. - Rok później zdawał do szkoły muzycznej w Oławie. Nie dostał się. Za dwa lata znowu, z podobnym rezultatem. Komisja egzaminacyjna tłumaczyła, że Samuel ma skrzywiony piąty palec i to nie wróży mu kariery pianisty. Zorganizowaliśmy prywatne lekcje gry u pani Krystyny Adamczak. Za trzecim razem zdawał egzamin wstępny równocześnie w PSM w Oławie i w Brzegu. Przyjęto go jedynie do Brzegu. Pierwsze dwa lata Samuel był rozerwany między Oławą a Brzegiem, potem rodzice przenieśli go do szkoły podstawowej w Brzegu. Po czterech latach w Szkole Muzycznej I stopnia, Samuel zapragnął uczyć się nadal. Znowu zdawał egzaminy do średnich szkół we Wrocławiu i Opolu. Nie dostał się do Wrocławia, a w Opolu zdał bez problemu.

Zaistniał na scenie

Samuel bardzo dobrze pamięta datę 26 kwietnia 1999. Właśnie tego dnia odbywał się brzeski konkurs "Graj co chcesz". Zaprezentował publiczności własny utwór i... wygrał. To jeszcze bardziej zmobilizowało go do bawienia się w komponowanie muzyki. Kiedy spodobał mu się jakiś motyw, nagrywał go na magnetofon, obojętnie skąd pochodził - z utworu klasycznego, rockowego czy innego. Mama śmieje się, że pewnego razu jej syn wpadł na pomysł uwiecznienia na kasecie odgłosu spuszczania wody w sedesie. - Myślałem, że to odkrywcza idea - śmieje się Samuel. - Potem dopiero okazało się, że wiele lat wcześniej ktoś już to wykorzystał we własnej kompozycji. Ale właśnie z takiej kompilacji różnych dźwięków i odgłosów wychodzi coś ciekawego. Na różnych kasetach mam uwiecznionych chyba 60 motywów. Kiedy część utworu jest interesująca sama w sobie, nie potrzeba do niej słów. Czasami jednak

warto wpleść jakiś tekst. W pisaniu pomaga mi tata. Doradza, często coś podpowie. Drugim ważnym wydarzeniem w życiu Samuela Serwaty był udział w oławskim Przeglądzie Młodzieżowej Twórczości Niediscopolowej Garaż 2002, który odbył się pod koniec września w Ośrodku Kultury. Jego występ, podczas którego zaśpiewał i zagrał na fortepianie kilka własnych piosenek, mocno wyróżniał się na tle prezentacji około rockowych i hiphopowych. 14-letni Samuel był najmłodszym uczestnikiem "Garażu".

Nie lubi popu

Najbardziej ubóstwia takich wykonawców, jak: King Crimson, The Residents, Tangerine Dream, Pink Floyd, Bauhaus, Claude Debussy. - Tworzą muzykę, która nie przemija i nie wychodzi z mody - tłumaczy. - Jest ponadczasowa, oryginalna i awangardowa. Podobnie jak oni, staram się poszukiwać nowych dźwięków i nowych brzmień. Nie trawię popu. Puszczają go w radiu na okrągło, ale za rok czy dwa nikt już tych piosenek nie będzie pamiętał. Największym marzeniem Samuela jest założenie własnego zespołu awangardowego, potrzebuje do tego skrzypka, gitarzysty i perkusisty. Chciałby zrobić karierę i być sławnym. Co prawda, członkowie grupy Residents koncertują w maskach i nie są znani, ale on wolałby być rozpoznawalny, bo to otwiera wiele drzwi. - Może gdybym wykonywał muzykę popularną, byłbym bardziej akceptowany, ale tak nie potrafię - zamyśla się. - Lubię robić coś innego, niż wszyscy.

(Zdjęcia i tekst : Anna Borkowska 2002 pochodzą z Oławskiej gazety "Do czytania" z numeru 9/2002)

Recenzje Własne:

LIVE AT GYMNAZYUM OŁAWA

26 KWIETNIA 2006 ROKU

Materiał z Prochów aniołów został zaprezentowany na pół godzinnym koncercie w Gimnazjum nr. 1 w Oławie. Zespół pod moją władzą, jeszcze przed powstaniem wiekopomnej Apteki Ćpuna, zaprezentował kilka moich kawałków, pod szyldem Rigor Mortis. Składu nie wymienię, by nie robieć wstydu przyjaciołom.

Był to jedyny koncert zespołu, który został opisany w Oławskiej gazecie powiatowej, w gazetce szkolnej oraz nakręcony dla telewizji Oława wraz z wywiadem. Organizatorem był bibliotekarz owej szkoły. Jednak nagłośnienie, sprzęt i nieakustyczna sala, zniweczyły efekt, jeszcze bardziej nieprzygotowanego zespołu, który praktycznie improwizował na scenie. Totalna klapa.

PIK PIK PAH I … KRZYK

2006

Artykuł i zdjęcia, zostały napisane na Oławskiej stronie internetowej Osi.Olawa.Pl / data: 2006-01-30

27 stycznia 2006 punktualnie o godz. 18.01 w Klubie Skrzydlatych odbył się wieczór artystyczny grupy Grejpfrut w reżyserii Wiktora Pietrzaka. W repertuarze imprezy znalazł się m.in.: performance ‘i…krzyk’ autorskie kompozycje wykonaniu Samuela Serwaty oraz aranżacje muzyczne w wykonaniu Agnieszki Bejdy. Całe przedsięwzięcie przyciągnęło i kilkudziesięcioosobową bardzo młodą widownię.

Sami Twórcy swój happening scharakteryzowali następująco:

Wyobraź sobie obraz, który wykracza daleko poza ramy. Dźwięk, który upomina się o należne mu miejsce. Chcielibyśmy zaprosić Cię do naszego

domu. Otwieramy drzwi, żebyś mógł przez chwilę podglądać. Zapukaj, albo wejdź bez pukania, a usłyszysz nasze „puk puk”. Happening w duchu młodopolskiego „l’art. pour l’art.” na potrzeby jednego wieczoru sparafrazowanego „sztuka bez sztuki”. Ukłon w stronę autonomicznego traktowania zadań artyzmu i uwolnienia go od wszelkiego zaangażowania, wymogów, funkcji i ocen. Główną rolę powierzamy słowu, bo było na początku, jednak krnąbrne i samowolne przeradza się w krzyk.

Dla mnie było to bardzo interesujące przeżycie - przeżycie, w którym nie istniały granice pomiędzy publicznością, a artystami - wprawdzie dość krótkie, bo kilkudziesięciominutowe - ale może właśnie dlatego zmuszające do przemyśleń i nie pozwalające przejść od razu do porządku dziennego.

D.S.

Scenariusz:

1. Samuel Serwata – Płomień Assurbanipala. 8 min.
2. Wiktor Pietrzak – Przyszli żeby zobaczyć poetę.
3. Samuel Serwata – Ojcze nasz.
4. Pikpikpah… i krzyk.
5. Piosenka Nosowskiej.
6. Samuel Serwata – Świnia z nadwagą.
7. Druga piosenka Nosowskiej.
8. Samuel Serwata - White Christmas na dwa głosy.
10. Pusty ekran telewizora. – Samuel gra na strunach fortepianu.

PRZYJDŹ POKRZYCZEĆ NA POETĘ

2006

Miał miejsce 29 października 2006 roku.

Było to spotkanie kilkunastu, głównie poetów, gdzie sam mówiłem kilka swoich wierszowanych, niby, tekstów, które o dziwo były uznane przez publikę. Mówiłem je do podkładu muzycznego, jakim był kawałek Acid z Czerwii. Kolejnym moim wkładem był akompaniament na fortepianie do wierszy Piotra Jordana.

Tekst za pozwoleniem osi.olawa.pl –

MARATON POETYCKI

„Element improwizacji przerósł organizatorów" podczas Maratonu Poetyckiego, który odbył się 27 października w Klubie Skrzydlatych. Wystąpili w nim Mateusz Kotwica, Samuel Serwata, Piotr Jordan, Szymon Barabach, Bogdan Szyszko, a ogarnąć całość próbował prowadzący Józef Pastuch. Atmosfera była idealna jak do tego typu spotkań, co sprawiło, że "cichy" zazwyczaj nagłośnieniowiec Waldemar Trzaska także jej uległ - debiutując swoimi oryginalnymi tekstami. Już dawno tak dobrze się nie bawiłam, show trwał mimo, że przyszedł tylko Pan Witold Niemirowski - jakby nie patrzeć ma doświadczenie w reprezentowaniu mieszkańców Oławy (przynajmniej niektórych) jako V-c Burmistrz;)”

M.S.

Tekst za pozwoleniem gazeta powiatowa Oława – wiadomości oławskie – wydanie 2 listopada 2006 nr 44 (703). – Tekst z trzeciej, od końca, strony.
„Poeci w Skrzydłach”

„ – Kiedy przed dwoma laty zaczynaliśmy warsztaty poetyckie, wyglądało to bardzo skromnie, czasami nieporadnie – mówi Piotr Jordan, Oławski poeta, opiekun warsztatów literackich w klubie „Skrzydlatych”. – Teraz jest o niebo

lepiej. Kiedy słucham dzisiaj wierszy Mateusza Kotwicy czy Bogusia Szyszki (fajnie, że o mnie wspomniał, człowieku, który był na owych warsztatach od początku) to bardzo się cieszę. Nie zmarnowaliśmy tego czasu. Szczególnie w wierszach Mateusza słyszę to, co w poezji najważniejsze; atmosfera, jasny przekaz (bardzo jasny przekaz, którego nikt nie mógł zrozumieć oprócz samego autora i najebanego Jordana, który zdawał się rozumieć wszystko). Jego wiersze, a także twórczość większości uczestników warsztatów, są naprawdę na dobrym poziomie.

W klubie „Skrzydlatych" spotkali się 27 października uczestnicy warsztatów literackich oraz ich sympatycy. Nieoczekiwanie zjawił się również wiceburmistrz Witold Niemiroswki (który, nie ukrywajmy, przyszedł podlizać się przed wyborami), który dzielnie (bardzo dzielnie, pomagała mu pani 40%) wytrzymał do końca prezentacji – Nieważne, że jest nas tak niewielu – rozpoczął wieczór Piotr Jordan – Pocieszcie się, że w dużym Wrocławiu na spotkaniach poetyckich są podobne „tłumy". Niewielu czyta dzisiaj wiersze. (Jeśli większość z nich przedstawia taki „wysoki" poziom to się nie dziwię.) – Ważniejsze są maile i smsy.

Mimo skromnej widowni, wieczór był udany. (Jak miał nie być, jak pod koniec przemienił się w swoistą bibę literacką). Swoje utwory czytali po kolej: Piotr Jordan, Szymon Barabach, Mateusz Kotwica, Bogdan Szyszka oraz Samuel Serwata (podoba mi się to „oraz" to zupełnie jak w czołówce filmu pulp fiction tj. oraz „Bruce Willis"), który dał mały show, akompaniując sobie na fortepianie, puszczając z płyty specjalne przygotowane dżingle. (Dziwny ten artykuł, niby Mateusz był taki zajebisty, a o mnie napisali najwięcej). Wiele wierszy wywoływało żywą reakcję publiczności. W dyskusji brylował Waldek Trzaksa – pracownik Ośrodka Kultury. – Tym mityngiem poetyckim inaugurujemy kolejny rok działalności klubu literackiego – mówi Józef Pastuch, instruktor w OK. – Będziemy działać nieco inaczej. (Czyli w ogóle jak się potem okazało, bo warsztaty po tym Wspaniałym Maratonie się całkowicie rozpadły, i przychodził na nie tylko Piotr J. w celu najebywania się za pieniądze Ośrodka Kultury). Zdaniem uczestników spotkań, formuła warsztatów wyczerpała się. Teraz będziemy spotykać się co piątek o godz. 18.00. Nie będzie klasycznych warsztatów (kiedyś były?), raczej spotkania ludzi zainteresowanych różnymi formami twórczości literackiej. Nie trzeba przynosić własnych utworów. Wystarczy chęć posłuchania innych i porozmawiania. Co kilka tygodni odbywać się będą mityngi poetyckie, okraszone muzyką wykonywaną na żywo. Namawiam młodych ludzi na ciekawe spędzanie czasu w każdy piątek od godz.19.00 w Klubie Skrzydlatych „

Sieka; Poprawki w nawiasach SS

TERRORYŚCI SŁOWA

23 LUTY 2007 KLUB SKRZYDLATYCH, MDK OŁAWA

Tego dnia zorganizowałem godzinny koncert, współtworzony z Raciborskim raperem, znanym z Opola, z którym przede wszystkim kręciłem filmy, Patrykiem Kuźlem. Dwóch muzyków pod wspólnym szyldem Terroryści Słowa, podzielili koncert na dwie części: część 1. Patryk Kuziel, część 2. Samuel Serwata. Do klubu zebrała się liczna hiphopowa młodzież, która podczas koncertu zaczęła wyklinać Patryka. Ze strony młodzieży, która sama nie wiedziała czego chce, czy zabawy czy rozróby, zaczęła kląć, z czego MC odpowiadał tym samym lecąc na freestyle'u do podkładu puszczanego z cd. Koncert skończył się po 10 minutach, kiedy to organizator musiał przerwać i wyprosić ludzi z sali. Zabarykadowani, musieli przeczekać na odejście ludzi,

którzy rozbijali butelki o zamknięte drzwi klubu i zdemolowali śmietnik stojący z boku.

Muzyka została wykorzystana do obu filmów Idiot prodakszynz, w który skład wchodził jeszcze Grzegorz Sypko, no i pozostała jeszcze płyta całej trójki zamieszczona, tak jak wszystko inne na Serwatystycznej płycie…

IDIOT PRODAKSZYNZ

Scenariusz: Samuel Serwata, Grzegorz Sypko, Patryk Kuziel

Reżyseria, montaż i produkcja: Samuel Serwata

Występują: Samuel Serwata, Grzegorz Sypko, Patryk Kuziel, Grzegorz Ryndała, Kaczy Ryndała, Marcin Jaeckel, Krzysztof Joniak, Naziu, Wiktor Pietrzak, Tomasz Pydych, Tomasz Siniakiewicz i inni

Muzyka: Apteka ćpuna & Terroryści słowa

ZUPY REGENERACYJNE

Jest to undergroundowy film złożony z trzech krótkich nowel filmowych (Era Gówna,

Pan Nietoperz oraz Spłaszczone żaby). Film ten, jak i Styropianowe życie powstawał w latach 2004 –2006 tworzony przez kilku utalentowanych młodych plastyków i muzyków. Pierwotnie nagrywany na amatorskiej kamerze analogowej i montowany prymitywnym darmowym programem, stworzyliśmy dziwaczną komedyjkę, która pokazuje całokształt pracy twórczej i typowym dla tego środowiska, modelu spędzania wolnego czasu. Jest to mój swoisty undergroundowy debiut.

O cielesnych Film opowiada o emocjonalnym rozłamie rzeczywistości i psychiki. niepokojach i umysłowych chorobach. Bohaterowie poprzez narkotyki próbują stworzyć z nudnej szarej rzeczywistości zupełnie inny świat. Czy im się uda ?

STYROPIANOWE ŻYCIE

Film ten powstawał w międzyczasie kręcenia Zup Regeneracyjnych i pierwotnie miał być jego częścią, jednak materiału, którego było zbyt wiele i ten zbyt różnił się od komediowego stylu, został oddzielony. Później okazało się, że jest kilkanaście razy lepszy, niż film który był kręcony jako główny.

Styropianowe życie to historia psychiatry, któremu w mózgu zagnieździł się robak zmieniający jego osobowość. Gdy robak rodzi się z jaja, psychika doktora zmienia się diametralnie, a sam robak, o którym mówi „dziecko” zostaje ukradziony. Myśląc, że jest . To niezwykle zombi, szuka księdza, który ma znaleźć i pozbyć się złodziei przemyślana surrealistyczna opowieść po której czuje się niedosyt.

MUZYCZNA CZERWIEŃ – 2006

27 Grudnia 2006 roku miał miejsce pokaz premierowy autorskiego programu muzycznego przygotowanego przez Serwatę. Tytuł tego przedstawienia nosił „Czerwie”. Jednak na plakacie, który sam przygotował, pisało Performance zważywszy na to, że niecałe dwa miesiące temu uczestniczył w jednym. A także zamiast aktorów czy muzyków napisał Scenariusz i Reżyseria i podał swoje nazwisko.

Autor przez prawie pół roku pracował nad skomplikowanymi dark ambientowymi podkładami, które nagrywał tylko używając prymitywnego rejestratora dźwięku, miksując różne ścieżki. Do tego napisał muzykę na fortepian i teksty i po kilkunastu próbach podjął się przedstawienia tego przed

publiką.
Jego założenia były dość proste. Była zima, pora kiedy szybko zapada zmierzch i późno świta. Okres między świąteczny. Scena była pusta, mieścił się na niej tylko fortepian, magnetofon kasetowy, mikrofon, wzmacniacz i kompakt, na którym odtwarzane były podkłady trwające 50 minut.
Koncert miał miejsce w Oławskim Ośrodku kultury, w podziemnym Klubie Skrzydlatych, gdzie do zupełnie ciemnego pomieszczenia, gdzie tylko czerwone światło padało na artystę, przybyło niecałe trzydzieści osób, które siedziało kompletnie skupione przez całą godzinę i słuchało w całkowitej ciszy. Dopiero po skończonym koncercie, po kilku sekundach rozległy się oklaski, i pytania, których nie było wiele, a po nim wszyscy zaczęli wychodzić w zupełnej ciszy.
Artysta chciał przedstawić trwogę i strach przed samymi sobą. Chciał doprowadzić do strachu, lekkiej paranoi na tyle sugestywnej, że ludzie, którzy przyszli na koncert wychodzili z niego w ciszy i bali się wyjść na miasto, cały czas słysząc ambientowe dźwięki i grę fortepianu.
Co można było uważać za spory sukces, to fakt, że trzy dni po premierze Oławski Serwis Informacyjny przedstawił artykuł o owym koncercie. Bowiem jedną z widzów tego darmowego pokazu była osoba pracująca przy tej stronie internetowej. Artykuł ten w pełni pokazuje, że jego zamierzenia spełniły się.

"Czerwie" - performance.
Z dość pochmurną miną i zamyśleniem na twarzy wyszłam wczoraj z Ośrodka Kultury gdzie odbywał się autorski występ Samuela Serwaty zatytułowany "Czerwie". Zgadzam się z autorem, iż był to improwizowany i dekadencki w wymowie wieczór. Literacko-muzyczne improwizacje autora doprowadziły mnie do wniosku, iż współczesny świat jest bagnem, a my paprząc się we własnych odchodach jak czerwie zżeramy się na wzajem.
Autor zmusił mnie do przemyśleń nad tym kim, lub raczej „czym” jesteśmy. Przedstawiając ludzkie losy poprzez dźwięki jakie nam towarzyszą gdy się rodzimy, parzymy itd. Dodając jako podkład plątaninę ścieżek dźwiękowych i muzykę graną na żywo stworzył ponury i smętny obraz współczesnego społeczeństwa wyolbrzymiając jego konsumpcyjne podejście do życia.
Ogólnie brawo Samuel! Coś nowego, przez to świeżego w Klubie Skrzydlatych się zdarzyło tego wieczoru. Liczę na powtórkę. Młoda i liczna jak na tak ekstremalne wieczory widownia pokazuje, że jest zainteresowanie kulturą, ale z jej zupełnie innej strony, tej mrocznej i wyzwolonej od sztuczności i grzeczności.
M.S.
„Muzyczna Czerwień”
Na podstawie Gazety Oławskiej wydanej dn. 18 stycznia 2007 nr 3 (714)
„Jak wyrazić emocje za pomocą dźwięków? Mogli o tym przekonać się oławianie, którzy przyszli 29 grudnia do „Klubu Skrzydlatych”.
Kilkudziesięcioosobowa publiczność zobaczyła interesujący debiut Samuela Serwaty. Za pomocą fortepianu, telefonu komórkowego, fletu, radiomagnetofonu młody artysta w swoim programie (performance) oddał problemy, które trapią współczesnego człowieka. Nagromadzenie informacji, nienawiść i życie, które i tak wszyscy zakończymy w tym samym miejscu – taka pesymistyczna wizja przemawiała z prezentacji młodego oławianina. Serwata zaskoczył publiczność nietypowym połączeniem fortepianu i papieru. (Strasznie oryginalne, nie?) Wkładając kartki między struny, wydobywał interesujące brzmienia. (Tak, to był gwóźdź programu, nie było nic

ważniejszego, ale co tam).
Api (Przypisy w nawiasie pochodzą od autora performance’u)

Samuel Serwata , 1999 – 2012, Oława – Opole – Laskowice

SZAMAN SŁOWA PATOLOGICZNEGO
ODNOŚNIE PIERWSZYCH PIĘCIU KSIĄŻEK (2009)

Wszystko odnośnie wszelkiego rodzaju sztuki jaką uprawiam zaczęło się od momentu gdy zacząłem mówić i rozumieć. Po części odpowiedzialny był za to ojciec, który w dużej mierze zainteresował mnie sztuką, która mnie zaczęła pochłaniać i inspirować. W zasadzie wzięło się to we mnie z samego siebie. Zawsze chciałem utrwalać moją wyobraźnię i ją rozbudowywać. Możliwe, że po części przez epileptyczne sporadyczne halucynacje na której cierpiałem gdy byłem mały. Jednak zaczęło się to z czasem przeradzać w coś co mnie w zasadzie wywyższało od innych moich rówieśników, że robię coś innego, tkwiąc do dziś w poczuciu, że tworzenie sztuki jest właśnie tym czymś co można określić jako cel, osiągnięcie czegoś, jednocześnie pozwalającego na złudną nieśmiertelność. Także w najistotniejszym aspekcie, sztuka zastępowała mi miłość, a z czasem stała się niezbędna, tkwiąc w poczuciu, że jeśli jej zabraknie, moje życie w zasadzie nie będzie miało ani sensu ani celu. Natomiast wszystko to, co tkwi w mojej psychice i wyobraźni jeśli nie znajdzie ujścia, rozsadzi mnie do tego stopnia, że zwariuję. Interesowały mnie aż do dziś różne dziedziny sztuki, w których pragnąłem się wyrażać, jednocześnie szukając tego czegoś, jednej rzeczy, w której czułbym się najlepiej. Dopiero niedawno, na początku 2011 roku uznałem, że pisanie jest właśnie tym. Skupiłem więc całą uwagę tylko na tym, porzucając inne projekty, pracując nad nimi jedynie spontanicznie.

Naświetlę parę spraw. Nigdy nie traktowałem pisarstwa na serio. W kwietniu 1999 roku napisałem swoją pierwszą powieść o lekkim zabarwieniu przygodowo - fantasy. Oczywiście są to gatunki, w owym czasie dla mnie najbardziej jasne i przejrzyste, i nie myślało się o opowiadaniu wielkich rzeczy. Było to piętnaście rozdziałów o przygodach Anatola Green'a młodego mężczyzny, który będąc zwykłym człowiekiem, świat w którym żyje, coraz bardziej zaczynał przypominać baśniową krainę, w której wszystko jest możliwe. Znajduję on magiczny miecz, zostaje pomniejszony, znajduje walizkę z pieniędzmi i itd. Nie pamiętam dobrze o czym były poszczególne rozdziały, bo w pewnym momencie wyrzuciłem na śmietnik owy zeszyt w którym pisałem, i nie jestem w stanie ani odzyskać ani odtworzyć tego czegoś. Chciałem po prostu w pewnym momencie, jakieś trzy lata później, zerwać ze swoim dawnym pisarstwem, nałogami literackimi i wszystkim, i spróbować czegoś nowego nie odwołując się do dawnych dzieł. Miałem wtedy 11 lat. Właściwie nie żałuję tego. Miałem małe doświadczenie, interesowały mnie ładne rzeczy, słuchałem symfonicznego rocka i muzyki progresywnej z końca lat sześćdziesiątych, a gdy ktoś nawet przeklął, powiedział "cholera" nie chciałem czytać, bądź oglądać dalej danego dzieła uważając je za prymitywne, chociaż nie ważne jak dobre było.
Później w 2002 roku, zacząłem pisać drugą powieść. Nabyłem parę umiejętności, jednak w owym czasie, zaczynałem ósmy rok nauki w kierunku muzycznym, i to się właściwie dla mnie liczyło. Głównie komponowanie i słuchanie muzyki. Pisałem mniej więcej tak dużo, jak się chodzi na cmentarz.

Napisałem powieść pt: "Paradox" która opowiadała o mężczyźnie który wędruje w czasie, i co jakiś czas spotyka samego siebie, a każde kolejne spotkanie, miesza jego przyszłość i przeszłość. Powieść przepadła, wyrzucona przez moich Wspaniałych Rodziców, którzy nie akceptowali żadnych dokonań artystycznych poza muzyką, niemal będąc w kolejnych latach przymuszany do nauki gry na instrumencie, zaczynałem powoli nienawidzić tego instrumentu. Przyjemność, zaczęła się przemieniać w obowiązek. Jednak pozostało parę notatek i opowiadań w mojej głowie, które w większej części znalazły się na nowo spisane w „Elastycznej rzeczywistości."

Potem zarzuciłem pisanie, na prawie dwa lata. Poszedłem do gimnazjum, które było najokropniejszym okresem w moim ówczesnym życiu. Chodziłem do trzydziestoosobowej grupy, złożonej z samej bandy wieśniaków, którzy znęcali się psychicznie nade mną, tylko dlatego, że byłem, jestem i będę ateistą, i nic tego nie zmieni. Że wolałem klasyczną muzykę rozrywkową z lat 70-tych, niż tanie techno i hip hop. Że wolałem czytać książki, niż szlajać się po mieście i ukradkowo palić zakazane papierosy. Głównie okres ten spędzałem w szkolnej bibliotece, gdzie na spokojnie jakoś mogłem się wyładować psychicznie, i na luźnych lekcjach, czyli Religia i w-f, na który nie chodziłem bo miałem zwolnienie, ze względu na padaczkę, głównie czytałem komiksy, którymi się fascynuję do dziś. Popołudniami natomiast jeździłem odreagować do Opola, do szkoły, oddalonej o 55 km.

Następnie gdy zbliżał się koniec roku szkolnego, nauczycielka z języka polskiego zrobiła coś innego. Kazała napisać luźne wypracowanie, na dowolny temat, w dowolnej formie, i wtedy padło pewne słowo "opowiadanie". Na następny dzień, byłem jedną z trzech osób która zrobiła owe zadanie domowe. Jednak tylko ja napisałem opowiadanie. Zatytułowałem je pierwotnie " Cisza przed burzą". Gdy je przeczytałem, pierwszy raz cała klasa siedziała cicho i słuchała. Pierwszy raz miałem tremę, ale wiedziałem, że wygrałem. Gdy skończyłem czytać, klasa dalej siedziała cicho, a nauczycielka stojąc zagryzała paznokcie. Opowiadanie było zbyt dobrze napisane, zbyt mroczne a smutek zawarty w nim przekraczał pojmowanie czternastolatka. Wówczas to pierwszy raz w życiu, i ostatni dostałem ocenę celującą z języka polskiego. Jednak i tak zawsze miałem naciąganą tróję, bo nauczycielka była cipą, i zawsze znajdywała coś do czego można się przypierdolić, i nie ważne było, że w owym czasie czytałem Ulissesa Jamesa Joyce'a, i dochodziłem do połowy książki, rozumiejąc ją i będąc nią naprawdę zafascynowany, a także czytając Rimbauda, Lautreamonta, Diderota, Sofoklesa, Shakespeare'a, Viana i innych.

Gdy nastały upragnione wakacje, ponownie porzuciłem pisanie, pisując jedynie sporadycznie kilka następnych fragmentów "Sekwencji". Przez wakacje zaczytywałem się w "Dzienniku Geniusza" Salvadore'a Dali, która stała się dla mnie swoistą biblią, i za cel życia i poszukiwania innych wrażeń cielesnych i psychicznych obrałem sobie na nowo surrealizm. Na nowo, bo surrealizm, był właściwie wiodącym gatunkiem we wszystkich muzach sztuki, która tak na prawdę mi się podobała. Ta pewna inność, wyobrażenie, że można tworzyć dzieła nie oparte o rzeczy materialne i fizyczne, ale sięgnąć głębiej do duszy, snów, majaczeń i głębi psychiki.

Przez całe niemal wakacje, nie wychodziłem z domu. Spałem co drugi dzień, wstawałem około piątej nad ranem, podziwiałem świt, i cały dzień, do nocy rysowałem, słuchając nieustannie muzyki. Robiłem jedynie przerwy na zjedzenie czegoś i pójścia do kibla. Chciałem się nauczyć rysować, i to robić, nie umiejąc zupełnie nic. Całą noc jadłem zupki chińskie i piłem kawę, czytając komiksy, a gdy nastał świt, znów rysowałem. Ćwiczyłem, aż pod koniec

wakacji, moja kreska nabrała kształtu i stworzyłem Young gods, który mam nadzieję kiedyś wydać.

Gdy nastał nowy rok szkolny, klasa była starsza, i wszystko powróciło ze zdwojoną siłą. Miałem tego dość, coraz gorzej mi szło w nauce. Właściwie nigdy nie przykładałem się do niej zbytnio, bo nie interesowała mnie większość rzeczy jakie w niej uczą. Człowiek według mnie, człowiek mądry, sam nabywa doświadczenia i potrzebną mu wiedzę, a szkoła sprowadza myślenie tylko na jeden tor, oczywiście mówią w niej o innych rzeczach, ale są to tylko wspomnienia. Moja klasa stała się tym bardziej wredniejsza. No i do tego dochodził dodatkowo wiecznie niski wzrost. Gdy poszedłem do gimnazjum, byłem najniższym uczniem w szkole, spośród ponad pięciuset uczniów! To była katorga, coraz bardziej narastająca. W tym momencie chciałem wszystko zmienić. Zacząłem pisać Balans.

Tekst ten powstawał w okresie wielkiego przełomu w mojej psychice i osobowości. Pisanie tego dziennika, bo takie początkowe założenia, że ma to być dziennik, ale napisany w sposób rozumiany przez czytelnika z zewnątrz, tj. nie znającego mnie wcale, a jednocześnie, żeby to nie wyglądało jak nekrolog, albo notka biograficzna z encyklopedii, zacząłem opisywać kolejne niektóre dni, w sposób przypominający opowiadanie. Jednak celem tego dziełka miało być ćwiczenie pisarstwa, wyrabianie języka pisanego, i wypowiadania myśli w sposób jaki mam w głowie.

Książka, film, muzyka i komiks, tak mnie zajęły, tak wiele rzeczy, głównie komiksów wtedy zaczęło wychodzić na rynek, a na które ja nie miałem pieniędzy, bo nie pracowałem, a moi rodzice byli zbyt biedni i skąpi żeby mi dać parę grosza na moje małe zachcianki. Zawsze powtarzali mi, że dostanę pieniądze jak będę miał dobre stopnie, jak poprawię oceny, jak będę grzeczny, jak coś tam, pierdu pierdu, i nie dostawałem pieniędzy właściwie nigdy, bo nie przykładałem się do nauki na tyle, by usatysfakcjonować moich starych, nawet gdybym miał czwórki ze wszystkich przedmiotów, to i tak byłoby dla nich za mało i mój ojciec się zawsze pytał "czwórka? A dlaczego, kurwa, nie piątka?!". I nic nie dostawałem. Zawsze był pretekst.

Jeden z gliniarzy kiedyś powiedział, że mógłbym wziąć instrument i grać na nim na mieście, zarabiając w ten sposób. Po dwóch tygodniach (ok. marca 2003) wziąłem flet i spróbowałem. Zarobiłem wtedy około trzydziestu złotych, był to mój mały zawodzić, kiedy dzięki muzyce, mogłem zarabiać na to wszystkie upragnione książki i komiksy.

Gdy skończyłem pisać ten owy dziennik, Balans, zamieszczając w nim jakieś trzy miesiące, dorwała się do niego moja matka, gdy przez przypadek zostawiłem go w domu. Poczytała sobie o mnie, i dostałem od niej takie zjeby, jak chyba jeszcze nigdy w życiu, przedstawiając siebie samego w innej postaci, niż mnie zna. Gdy jej po tygodniu przeszło, powiedziała, że to najlepsza książka jaką w życiu przeczytała. I tak się chyba zaczęła moja przygoda z pisaniem. Po części z nudów, po części z frustracji.

Później dopiero zacząłem się odnajdywać, gdy zamieszkałem w bursie w Opolu, gdy nikt nie miał nade mną kontroli. Byłem czysty. Poznałem ludzi, którzy zmienili mnie. Zacząłem więcej czytać, więcej pisać, kręcić filmy, rysować, otwierać się, robić muzykę oraz pić, palić fajki i palić zioło. Przez kolejne półtora roku pisałem pierwszą książkę, jaką napisałem „Elastyczną rzeczywistość” oraz „Coś Złego”.

To tyle odnośnie początków. Chaotycznie opowiem, co się działo później przez najbliższe pięć lat. Zbaczając z torów, pisząc nie na temat. Złamię tu wszelkie zasady w tej książce, która jest nieokreśloną plwocinom literacką, a nie czymkolwiek innym.

Właściwie na początku tworzenia, był to raczej zbiór opowiadań, który przez przypadek stał się powieścią, która powieścią tak dosłownie nie jest. Można ją bowiem tak traktować. Jest to czymś pomiędzy zbiorem o pewnej tematyce i pewnym zalążku, która doprowadza czytelnika do pewnej kulminacji. Zebrane w niej teksty pochodziły z czasów, gdy mieszkałem po części w Oławie i mieszkałem w dużej mierze w Opolu, gdzie uczyłem się w średniej szkole muzycznej. Pisałem po różnorakich zeszytach teksty, których skomasowana ilość trafiła na dysk twardy komputera, i po kilkunastu miesiącach została zebrana tutaj. Pisałem jednocześnie wiele tekstów, z których żadna z zamierzenia nie miała być powieścią. To przyszło po czasie, po jakichś trzech latach. W tej książce są zamieszczone teksty, które jednocześnie są opowiadaniami a jednocześnie są zwartą powieścią. Zebrałem tutaj różne historie, które odpowiadały według mnie klimatem, stylem, kilkoma motywami, które przeplatały się w niektórych historiach. Jednak tworzenie każdej historii w czasie było bardzo odległe i właściwie dopiero po trzech latach od napisania pierwszej historii do ostatniej, została ona tym, czym jest właśnie w takiej postaci.

Gdy pisałem w tym czasie Coś Złego, bardzo dużą rolę przykładałem do klimatu powieści. Wówczas nie chodziło mi o zastaniu wielkim pisarzem, choć miałem do tego pewne aspiracje, których od samego siebie życzyłem. Największą inspiracją jaką czerpałem przy pisaniu całej tej książki, brałem nie skądinąd ale z muzyki. To właśnie z muzycznego klimatu i jej aury, najprzeróżniejszych artystów brałem inspiracje do napisania poszczególnych opowiadań. Na przykład gdy pisałem taksiarza, było lato, a ja siedziałem po nocach lub o świcie i pisałem pijąc kawę i słuchając min. modern jazz quartet, Toma Waitsa i innych dziwnych artystów.

Gdy pisałem Taksiarza, pisałem go z przerwami przez półtorej tygodnia od 13 do 23 sierpnia 2005. Miałem wakacyjną przerwę od szkoły, nie pracowałem i nie uczyłem się rzecz jasna, a moim celem na tamten czas, było napisanie kryminalnego thrillera, który byłby nazbyt pokręcony i niewytłumaczalny.

Przy pisaniu Psychodelicznej zupy od 25 marca do 6 kwietnia 2005 roku, byłem zaaferowany twórczością pisarzy beat generation, do których nie miałem dostępu. Chciałem napisać własną przećpaną historyjkę, nie wiedząc o temacie narkotyków ani pisarzy narkotyzujących się, prawie nic, oprócz marihuany i haszyszu, który wtedy zacząłem odkrywać. Jednak te opowiadanie nie wyszło z ćpania, ile z choroby. Na, chyba, ferie, w którym był okres, że nie spałem trzy dni pod rząd, totalnie bez snu, prawie nic nie jedząc, opijałem się kawą, by spowodować by mój mózg sam z siebie tworzył halucynogenne, paranoiczne obrazy, które spisywałem. I szło mi dobrze. Oprócz kawy, miałem tabakierkę, którą spożyłem w ciągu czterech dni, w tamtym czasie. Cały tytoń osiadł mi na żołądku i trafiłem do szpitala z ciężkim zatruciem od kawy i tabaki. Siedziałem tam dwa tygodnie. Majaczyłem, miałem halucynacje i chore sny, które spisywałem. Po wyjściu ze szpitala dopisałem zakończenie i po jakimś czasie przepisałem opowiadanie takie jakie jest w ostateczności.

Po długim czasie zbierania pisarskiego materiału, z czego materiał na tą książkę wydał mi się najlepszy w owym czasie, zebrałem te teksty i pojawiły one się w takiej a nie innej formie. Nie jest to wielka i oryginalna literatura, choć chciałbym by nią była. Jest to według mnie dobra, klimatyczna powieść

grozy, która jest taką formą grozy, która mnie samego przeraża. Był to okres zbierania pomysłów, inspiracji i tworzeniu swoich dzieł.

Oprócz tego, że jest to pewnego rodzaju dziwaczna powieść, każdy z poszczególnych rozdziałów ma swoją własną określoną historię. Jednak poszczególne rozdziały, które zostały uszeregowane w książce, nie są adekwatne do czasu pisania. Najstarszą historią był Klaustrofob, który pisałem podczas pełni, w deszczową noc, pisząc praktycznie po ciemku, na granicy snu i jawy. Było to 31 sierpnia 2004 rok. Chciałem napisać historię pełną grozy, ale nie horroru, coś o obłędzie lub fobii.

Potem nastało „Pasowanie na Trupa”, jeden z fragmentów pisanej przez 5 lat powieści „Zbawiciel” która pierwotnie była trzema osobnymi, krótkimi opowiadaniami, pierwszymi, które napisałem w Opolu, podczas mieszkania w internacie. Pisałem je po nocach 4 października, 16-17 listopada, i 10 grudnia 2004 rok. Chciałem uchwycić klimat, a gdy przeczytałem je paru moim znajomym, oni zdopingowali mnie, bym pisał dalej. Więc pisałem, z długimi przerwami z początku nie wiedząc, czy jestem i powinienem zostać pisarzem. Jednak pomysły same przychodziły, aż pisanie wzięło górę nad czymkolwiek innym. Wymyślałem mnóstwo historii, tak wiele, że musiałem rozbić je na dwie książki. Pierwotnie ta książka i Elastyczna rzeczywistość, miała być jednym wielkim zbiorem opowiadań, na czele z pierwszym rozdziałem Zbawiciela, który wtedy był osobnym opowiadaniem. Jednak wyszło inaczej. Pomysłów na opowiadania było ponad dwadzieścia, a każde pomysł na opowiadanie zawierał mnóstwo pomysłów. Nie wiedziałem wówczas jak się łamie powieść, ile znaków powinno być na stronie itd., i w sumie mało mnie to obchodziło. Po prostu nieskrępowany niczym pisałem. Miałem ponad dziesięć zeszytów 60 i 80 kartkowych, zapisanych po ostatnią stronę. Pisałem dzień i noc, w każdej wolnej chwili, niemal zarywając lekcję, zamiast chodzić na lekcję, łaziłem do podziemnego bufetu w mojej szkole i tam ze słuchawkami na uszach, w kącie, przy kawie, godzinami siedziałem, po 6 godzin niemal, nie chodząc na żadną lekcję i pisałem. To była niemal obsesja. Chciałem skończyć książkę, zbiór opowiadań, bo na powieść, całą wspólną niemiałem pomysłu.

Okres 2004 – 2007 był okresem, w którym zaczynałem pisać już teksty z myślą o pełnoprawnej powieści. Było to dobre rozwiązanie, bo wg mnie pisania nie może nikt nauczyć. Szkoła może nauczyć budowy zdań, pisania liter, ale nie samodzielnego myślenia. W szkołach, przynajmniej w tym kraju, samodzielne myślenie jest zabijane. Więc musiałem polegać tylko na moim guście i na swoich umiejętnościach. Jak wspomniałem, zaczynałem od dziennika i od krótkich form, opowiadań, do Elastycznej rzeczywistości. To był początek.

Zagłębiając się nie tyle w literaturę, ile w inne formy sztuki, jednocześnie w tych latach zaczynałem pisać różne teksty, z których powstały aż trzy powieści, jeden zbiór opowiadań no i reszta. Komiks, film i muzyka, czasami zahaczałem o teatr. Było tych projektów tak dużo że dopiero, począwszy od 2003, ostatecznie skończyłem je w 2010 roku. Jednak oprócz książek, wszystko inne traktuje jako szkolenie się i zbieranie doświadczeń. Teraz jestem w zasadzie gotowy już na podjęcie jakichś śmielszych i bardziej dopracowanych działań. Ale nie o tym teraz.

Jak wspomniałem, zaczynałem pisać jednocześnie tą książkę, zbiór opowiadań i Zbawiciela. Potem doszła kolejna książka „Dzienniczek psychopaty” którą zacząłem spontanicznie pisać po 2007 roku. Mimo wszystko prawie dwa lata zajęło mi ogarnięcie wszystkich moich dokonań, które

skumulowane są w serwatyźmie.

Czerwień i czerń powstawała pierwotnie pod nazwą „Kanalie” i chociaż wolałbym ten tytuł zostawić, przy wysyłaniu książki do jednego z wydawców, dostałem wiadomość, że nie mogę wykorzystać nazwy Kanalie na książkę, bo parę miesięcy wcześniej na rynku pojawiła się książka o tym tytule. Wkurwiłem się, nie ma co. Mimo iż tytuł książki nie jest specjalnie oryginalny, mam to gdzieś, bo barwy o których mówi tytuł są tylko barwami bardzo ważnymi dla mnie. I nie potrafiłbym inaczej nazwać swojej pierwszej powieści i nie ma nawet mowy bym owy tytuł zmienił.

Pośród tego całego zamętu, spośród trzydziestu zeszytów wypełnionych szczątkowymi pomysłami, opowiadaniami skończonymi i nie, pisałem również dramaty. Jednak nie uważam się za dramatopisarza i nie jestem w tym też dobry, przerobiłem ówczesne cztery dramaty, z których jeden znalazł się tutaj, drugi w „DP”, a dwa pozostałe, w tym „Kanalie”, w czerwieni i czerni.

Podczas gdy „ER” było mieszaniną różnych stylów w których chciałem się sprawdzić, wykreowałem w tej książce pewnego rodzaju chore i dziecinne poczucie humoru, której wg mnie w najlepszej formie wykrystalizowałem w tej powieści. Sama powieść nie powstałaby pewnie nigdy, gdyby nie doping Patrycji Morawskiej, która chciała poznać dalsze przygody Salvadora Messiena. Po tej książce moje czarne, wisielcze poczucie humoru padło i nie wiem czy jeszcze powróci, jednak następne moje książki tego nie potwierdzają.

Książkę napisałem w półtorej roku z przerwami. Nigdy nie potrafiłem się skupić na jednej rzeczy, lecz pracuję nad tym. Zawsze za dużo było rzeczy, innych projektów, które przeszkadzały mi w pracy nad książką. No a później to się już wszystko popieprzyło i zaraz po skończeniu tej książki, zacząłem następną i pracę nad projektem filmowo-muzycznym, Apteką Ćpuna. Dwa lata później ostatecznie poprawiłem całość.

Każdą książkę pisałem w innym systemie. Ta i pierwszy zbiór opowiadań pisałem w zasadzie z wymyślonych pomysłów, na których bazowałem by wytworzyć dopracowane teksty. Następną książkę, Dzienniczek psychopaty, pisałem na blogu, spontanicznie, rozdział po rozdziale bez uprzedniego przygotowania, poza paroma fragmentami. Zbawiciela zaś pisałem najdłużej bo nigdy nie potrafiłem wytworzyć odpowiedniego klimatu wokół siebie i mieć odpowiednio dużą ilość czasu by się skupić na tym rozbudowanym tekście, który mimo iż pisany pod wpływem narkotycznych transów, pisałem z długimi przerwami. Choć nie planowałem zrobić ze Zbawiciela to, czym jest teraz. Miało to być z początku siedmioczęściowe opowiadanie. Jednak temat był zbyt intrygujący, a pracowanie nad książką po zjaraniu napędzało i jeszcze bardziej inspirowało mnie do tego, czym jest teraz.

Książka „dzienniczek psychopaty” dotyka mnie na bardzo emocjonalnym poziomie. Jest to bowiem książka o rzeczach, o których się nie mówi. A przynajmniej nie wprost. I nie obcym ludziom. I nie samym sobą. Opowieści wspomnień, które sprowadzają ból, obrzydzenie, paranoiczny lęk, smutek, poruszenie własnego sumienia i ego. Historie pragnące być zapomniane. Ta książka to właśnie zbiór takich historii. Mało znaczących dla kogoś, ale znaczących osobiście dla każdego z ludzi.

Nie wiem, może chodzi o wszechogarniającą całość agresję, ból, patologię, morderstwo i psychozę w niej zawartą. W dodatku pisane plastycznym językiem, moja książka bardziej w tym momencie wywiera wpływ na wyobraźnię czytelnika, w równie wielkim stopniu jak na moją, bo właśnie

poetycki styl bardziej do mnie przemawia, i staje się wrażliwszy na treść i przykładam wielką wagę do każdego słowa i każdej opisywanej rzeczy. Ale to nie ja wymyśliłem tą książkę, tylko media, gazety, radio, ludzie i wymieniać tak mogę jeszcze długo. Ludzie pragną horroru, zwłaszcza w państwie gdzie nie ma wojny. Pragną jej. Pragną zboczeńców, sadystów, gwałcicieli i psychopatów. Wprawdzie mamy łatwy dostęp do pornografii, która uśmierza dokonania domniemanych gwałcicieli, którym może być każdy, kto nie ma swojej dawki, jak ćpun, seksu. Ale i tak zdarzają się skrajne przypadki. Ludzie wydają pieniądze żeby przeczytać o tym, usłyszeć, porozmawiać, zobaczyć, i mimo, że ich to brzydzi, w głębi duszy fascynuje irracjonalnie a także pokazują ludzie nie tylko w tym kraju, ale i na całym świecie, jakimi są prymitywnymi zwierzętami i jak bardzo działają instynktownie. To obala właśnie mit, że człowiek nie jest tym, za kogo się uważa. Jest dopiero w trakcie uczłowieczania.

Książkę zacząłem pisać zupełnie przypadkiem. Bo przypadki rządzą życiem. Pewnego dnia w pracy, na pierwszej zmianie, gdzie pracowałem w małym sklepiku na uboczu, założyłem na jednym z portali, bloga. Miałem w nim na cel, pisać fikcję literacką, zahaczającą o rzeczywistość, ale także o moje własne życie, których odnośników i myśli jest tu chyba najwięcej. Niemal cały rok z przerwami pisałem go, obserwując, jak rośnie liczba odwiedzających, a także komentujących. Nie było to wielkie ilości osób, ale to za sprawą tego, że nie reklamowałem go praktycznie nigdzie. Chciałem po prostu napisać kolejną książkę, która byłaby zupełnie przeze mnie napisana bez żadnej konkretnej fabuły, i pomysłu. Pisząc zupełnie wolny. Bez przygotowania na brudno pomysłów. Oprócz tej książki skończyłem jeszcze jedną powieść pt „Kanalie” oraz zbiór opowiadań „Elastyczna rzeczywistość” które książki mam nadzieję, ujrzą światło dzienne. Jednak są to zupełnie inne książki od tej, jak także dwie kolejne książki nad którymi właśnie pracuję.

Pisząc ją i publikując na blogu, chciałem uzyskać wrażenie, że to, co zostało w niej opisane, nie jest fikcją literacką, lecz dziennikiem nie tyle psychopaty, ale człowiekiem który ma pewne objawy choroby psychicznej, jest ćpunem i tkwi w nim ogromna nienawiść skierowana do własnych rodziców. Dotykam tu, według mnie, naprawdę przerażających spraw, jakie są dla zwykłych ludzi ważne. A bez podszewki, stają się naprawdę przerażające. Są one niemal przerysowane i nagięte do pewnych spraw. Kilka osób mówiło mi bym uważał co opisuję, bowiem, ktoś pewnego dnia może odkryć ten blog, i wystarczy, że opisałem tam ze szczegółami jakieś morderstwo i zaraz zaczną mnie szukać. Zwłaszcza, że bardzo łatwo mi było się wczuć w opisywaną postać i nakreować jej myślenie i czyny, tak by były jak najbardziej rzeczywiste i prawdziwe.

Obrałem sobie za jeden problem. Ludzie czytają o całej tej paradzie sadystów, ale szukają czegoś co dotyczy bezpośrednio ich, a nie tego co zrobili i na ile dostaną lat. W tej książce, pokazane jest jakim człowiekiem jest maniakalny psychopata – sadysta. Co czuje, co robi, dlaczego to robi etc. To przede wszystkim fascynuje, również mnie. Właśnie tutaj są opisane, pisząc w pierwszej osobie, te wszystkie rzeczy, o których nikt nie mówi, a ludzi interesują. A wiem coś o tym, bo sam mam paru dobrych znajomych, którzy chcieli bym dalej to pisał, bo książka i pomysł jest niesamowity. A obcując, tak jak ja ze środowiskiem plastyków i muzyków, a także ludzi wyczulonych na prawdziwą i oryginalną sztukę, z których niektórzy siedzą lub siedzieli w psychiatryku, lub mają jakieś zaburzenia osobowości, również działa i pobudza mnie jako autora do napisania takiego dzieła. Bo jak się ktoś z was czuje, gdy przyjaciel, powtarzam przyjaciel, którego znacie np. 10 lat, nagle zostaje

zamknięty w zakładzie psychiatrycznym, a wy nie wiecie jak to się stało, i obwiniacie się, że nic się nie domyślaliście i nic nie możecie zrobić.

Ludzie uwielbiają szoking artystyczny, wystarczy przypomnieć sobie, jakie było w kraju zamieszanie oscylujące wokół Krystiana Bali, który napisał wprost genialną książkę. On musiał zabić, żeby jego książka została sławna. Przynajmniej ja tak uważam. Ja musiałem tylko przemycić ją do umysłów przypadkowych ludzi by zaczęła żyć własnym życiem.

Próbowałem, i chyba mi się to udało, przełożyć na treść książki część tego, co nas szokuje, a także obraża i obrzydza. Tym się fascynujemy. Wszyscy jesteśmy jak utajeni homoseksualiści. A najstraszniejsze jest to, że po pierwszym przeczytaniu, każdy znajdzie w niej część siebie, nawet podświadomie. Jest jak wesz, którą mamy na ciele, i nawet nie uświadamiamy sobie jej obecności.

Sam tytuł brzmi infantylnie i z góry zakłada o czym jest książka, ale brzmi to jakby tytuł napisała jak to powiedziała moja przyjaciółka „tytuł pamiętnika dziewczynki, która w wieku trzynastu lat miała swój pierwszy raz.” Tytuł ma dawać wrażenie, jakby to jakaś osoba postronna dała jej tą nazwę. Zresztą ma on również wywołać uśmieszek na twarzy po jego przeczytaniu. Z zajadliwym humorem czytając rzecz, która wcale nie jest komedyjką. Za moim celem dalej była czarna powieść Ale rozciągnąłem ją do granic możliwości i przeobraziłem w nowy gatunek, przynajmniej mam taką nadzieję. Nazwałem ten styl Słowo Patologiczne. Bowiem i słowa użyte w zdaniach jak i sama treść, doskonale odzwierciedlają tytuł tego nowego gatunku.

Jakim jestem człowiekiem? Spokojnym, sympatycznym, kimś kto da ci papierosa na ulicy gdy mnie o niego poprosisz. Pełnego pozytywnej energii wprost z muzyki końca lat sześćdziesiątych z wysp brytyjskich. Niskim, szczupłym, długowłosym, kimś kogo byście się nie spodziewali, gdy mnie zobaczycie, przedstawiającego swoje poglądy i swoje książki. Jestem człowiekiem takim jak wszyscy. Z przykrą, momentami, przeszłością, bez wykształcenia, interesujący się filmem, książką, muzyką i komiksem, których gatunki sam wykonuję. Jestem człowiekiem takim jak wszyscy, kochającym i będącym kochanym. Nie ma we mnie wiele zła. Mówię wiele, bo zło jest w każdym, i każdy może je czynić. Zatem nie chcę powiedzieć, że nie ma ludzi dobrych. Chcę powiedzieć, że ludzie są jak dzień i noc, księżyc w pełni i w nowiu. O tym właśnie jest Dzienniczek psychopaty.

Zbawiciel jest powieścią specjalną. Jedyną w swoim rodzaju w dzisiejszych czasach, jednak jedną, mam nadzieję, która stanie się tak wielka jak "120 dni sodomy" F.A.D. de Sade, "Pieśni Maldorora" Lautreamonta, "Nagi lunch" Williama S. Burroughsa, oraz "Ogród udręczeń" Oliviera Mirbeao. Jednak nie były to inspiracje, nic nimi nie było. Zresztą i tak nigdy nie dorównam tym ludziom. Bowiem to towarzystwo winno być najwłaściwsze dla tej powieści. Nie powinna się ona definitywnie znaleźć między nowoczesnymi pisarzami tandetnych horrorów. Ma ona bowiem historię, przesłanie i ukrytą pewną filozofię. Przy którymś rozdziale pisania, czytając wstęp do "Justyny" de Sade'a natknąłem się na opis tzw. "Czarnej powieści", którą definicję podałem skrótowo na początku książki. Jest ona definitywnie odrażająca, myśli, czyny i wszystko w niej zawarte jest niemal bluźniercze. I tak powinna być ona traktowana. Ciekawym zbiegiem było także tworzenie tej powieści. Z początku, było to tylko niewinne opowiadanie, napisane przez głęboką złość i furię jaką darzyłem i darzę mojego własnego ojca. Był to pierwszy rozdział. Podczas jednej z nieprzespanych przez frustrację nocy, wymyśliłem tą postać,

którą niby jestem ja sam, ale w zupełnie drastycznej formie, a sam opis tego co robi Zbawiciel ze strażnikiem, jest opisem moich wyobrażeń, przelanych na papier w celu wyładowania owej frustracji, co bym zrobił mojemu ojcu. Furia ta była tak wielka, że zacząłem interesować się kinem gwałtu i przemocy, książką bluźnierczą i pornograficzną. Miałem wyjście, albo uciec w to, i wyładować się oglądając, czytając i pisząc, albo zwariować, zabić ojca a następnie siebie. Pewnie sobie ktoś pomyśli, że to pewnego rodzaju, niespełniony syndrom Edypa, ale powiem szczerze, nigdy w życiu nienawidziłem tak bardzo nikogo jak jego. Właśnie z tej skrywanej nienawiści powstawała ta książka. Pisałem każdy rozdział co parę miesięcy, gdy nie mogłem wyładować w żaden sposób mojej frustracji, łącznie z chodzeniem na siłownie i okładaniem ciosami worka treningowego, skąd te długie przerwy między pisaniem, i tak dlatego, książka ta zaczęta 7 sierpnia 2004 roku, a mamy czerwiec 2007 roku.

Pierwotnie zamkniętej w siedmiu pierwszych rozdziałach, które miały być dołączone do zbiorku opowiadań "elastyczna rzeczywistość" ale z czasem nastały kolejne pomysły, kolejna złość a sama postać i powieść ewoluowała. Do tego dochodziły historie o obozach koncentracyjnych drugiej wojny światowej, które autentycznie mnie przeraziły. Do tego dochodzi też rozwód moich rodziców, a także wychowanie ateistyczne. Wtedy zacząłem pisać kolejne rozdziały. Nie wiem kiedy znów przestanę pisać i znów porzucę tą książkę. Oprócz frustracji, wchodził fakt, że pisałem kolejne rozdziały tylko w nocy, w specjalne klimatem nocy, doprawione mroczną awangardową i industrialną muzyką. Niektóre rozdziały też są opisami moich snów oraz napisanych z wycieńczenia organizmu przez kilka nieprzespanych nocy tekstów. Jednak trzonem głównym dla którego powstawała, jest właśnie wielka złość.

Jest to powieść bardzo znacząca dla mnie, odsłaniająca wszystkie najskrytsze, najbardziej mroczne i odrażające części mojej duszy. Rozdziały są ustawione od najstarszego do najnowszego, tak by czytelnik miał obraz zmieniającej się mojej psychiki. Chciałem dodatkowo opisać to prostym językiem, ale stanowczo zabarwionym poetyką, bo proza pisana właśnie w ten sposób najbardziej oddziałuje na mój umysł i staje się on w ten sposób bardziej wyrazisty i czytelny. Nie ma w tej powieści owijania w bawełnę, słowa są wypowiadane szczerze, z emocjami i wyrazistością. Nie ma tutaj niedopowiedzeń i wątków do dopowiedzenia sobie przez czytelnika, wszystko jest tutaj podane kawa na ławę, tak jak ja to widzę i co czuję, chcę by czytelnik poczuł moją grozę, strach i złość.

Od połowy książki, na której rozwinięcie i zakończenie nie miałem w zamierzeniu i zbytnio rozrysowanego działania. Uznałem, że uśmiercenie cielesności zbawiciela, stawiając go jednocześnie na drugi plan, mimo zachowania, że jest jednak najważniejszą postacią. Było czystym przypadkiem, dająca upust, połączenia z książką, którą zamierzałem napisać w następnej kolejności, ale wpoiłem ją właśnie w drugą część, o samoistnej duszy Zbawiciela.

Poszczególne rozdziały pisałem w bardzo długich odstępach na przestrzeni bardzo wielu lat. Książka pokazuje, że dosyć, że zło może być w każdym jest jedna wielka manipulacja, gdzie chciałem zatracić sens między bohaterami prawdziwymi a fikcją, rzeczywistością a nierzeczywistością. Jest to spojrzenie mnie artysty na każdą ze sztuk, film, komiks, muzyka, książka i inne. A pomaga mi w tym fakt, że znam wiele rzeczy z tą sztuką związaną, jak i że sam je robię.

Co do drugiej części to bardzo długo wahałem się czy ją utworzyć czy nie. Wydawała mi się zbyt odjechana i w trochę skróconej i zmienionej wersji Ulica Kwasu miało wystąpić jako osobne opowiadanie. Jednak podczas kolejnych zmian nad powieścią Zbawiciel, uznałem, że będzie to nieodzowne. Ulica Kwasu to porąbany psychodeliczny horror, w dodatku najbardziej niezrozumiały i surrealistyczny ze wszystkich, dla ludzi myślących wielopoziomowo i abstrakcyjnie. W Ulicy Kwasu wytężyłem w stu procentach mój mózg i maksymalnie pobudziłem swoją inteligencję. Mój własny parapsychologiczno-psychodeliczny horror osadzony w antyrzeczywistości. Chociaż trudno mi mówić w tym wypadku o tym opowiadaniu jako o horrorze, bo pisząc je miałem frajdę, bo chciałbym, żeby świat był skonstruowany jak w tym opowiadaniu i dokładnie tak wyglądał. Opowiadanie te było najtrudniejsze dla mnie do napisania.

Nie chcę narzucać czytelnikowi mojej wizji, i chciałbym by jednak wszystko co dzieje się w Ulicy Kwasu było zinterpretowane przez czytelnika na swój sposób. Jednak w pewnym stopniu, opowiadanie te jest powiązane ze Zbawicielem. Zacznijmy tak: Wyobraźmy sobie, hipotetyczną kontynuację Zbawiciela, która opowiada o upadku rzeczywistości poprzez sztukę i doprowadzenie do świata, który jest kontrolowany przez czterech artystów, którzy stworzyli film, który rozerwał świat rzeczywisty wprowadzając antyrzeczywistość, gdzie tytułowi czterej artyści tworzą świat według swojej woli, tworząc skomplikowane dzieła, które stają się rzeczywistością. Książka ta zawiera od początku zakrzywioną rzeczywistość, która później przybiera w miarę realnych kształtów, potem ostateczną zapaść rzeczywistości aż do jej upadku. Wtedy następuję antyrzeczywistość, przeciwność naszego realnego i racjonalnego świata. Świata wypełnionego sennymi marami, schizofrenicznymi chorobami, halucynogennymi wizjami itp. I właściwie to jest Ulica Kwasu. Jest to bardzo swobodna kontynuacja, nie łączącą się praktycznie w żaden sposób ze Zbawicielem, po mimo tego, że Ci sami czterej artyści tworzą świat. Choć tutaj, nie ma nawet ich imion. Tworzą oni jakby powieść wielowątkową, która jest nierzeczywista, ale rozgrywa się w rzeczywistości. Chodzi głównie o podejście do tego tematu, który możliwe, że nie jest odkrywczy, ale jest pokazany jako coś zupełnie innego. Wiadomo, że czytelnik czytając książkę, wie, że to, co czyta jest tylko fikcją, ale jest w pewnym sensie rzeczywistością wymyśloną. Tym schematem właśnie się bawię. Co więcej, bohaterowie wymyśleni przez twórców, opisują w książce, nie tyle samych siebie, fikcyjnych bohaterów, ile realnych, niby, czterech artystów, którzy to z kolei są fikcją wymyśloną przeze mnie. Historia ta jest pokrewna Zbawicielowi, tylko, że tam skrzywiona rzeczywistość dąży do upadku, do powstania antyrzeczywistości, a w tej książce jest zupełnie na odwrót.

Materiał, czyli bohater, zawsze jest z założenia tylko trzonem. I z początku tworzenia historii jest nikim, dopiero potem staje się kimś. Ale z początku jest to ten sam bohater. Ta sama tabula rasa wypełniona potem znaczeniami zaczerpniętymi od tego samego autora. Tak jest z każdą historią. Trzech głównych bohaterów czy jeden? To nie ważne. I tak nad nimi czuwa czterech artystów. Historie które się dzieją tutaj drążą dwa światy. Ze skrajności w skrajność. Żaden świat nie jest wystarczająco dobry, bo i tak ludzie będą dążyć, żeby zapadł przeciwny do świata w którym żyją. Jednak wszyscy bohaterowie tworzyć pewnie będą dalej swoje historie, jeśli w to wierzyć, jednak ja nie napiszę więcej o nich nic. I mam nadzieję, że nikt inny tego nie zrobi, bo ostateczny koniec, może być nieodwołalny. Dobry pisarz powinien wiedzieć, gdzie skończyć swoją historię, inaczej wszystko kończy się śmiercią.

Popierdolenizm jest tu daleko posunięty. Czasami zastanawiałem się czy nie za daleko.

Pożeranie powieści. Niemal w nie wierzę. W istotę pożerającą powieści. Tak się stało właśnie z Ulicą Kwasu. Historia wyrosła na salwie powieści Zbawiciel. Jest jej kontynuacją, ale nie dosłowną, bowiem bohaterowie, czterech artystów, mimo iż są w niej ważną postacią, są jednak bohaterami drugoplanowymi. Coraz mniej zapału miałem do tego dzieła. Niektóre doklejone wątki, usunąłem, żeby dobrać się do trzonu, który jest pewnego rodzaju kontynuacją. Jednak stare pomysły, cała teoria rzeczywistość i antyrzeczywistość, została już wytracona. Ulica Kwasu została pożarta, przez najmniej nieoczekiwany element przeze mnie. Teraz zajmuję się inna teorią. Innymi rzeczami. Mimo wszystko te niesamowite zakręcenia w pomysłach stają się coraz bardziej otwarte. Wszystko będzie dobrze. Wiedziałem że to jedno z ostatnich pożarć. Chciałem jednak wyjść do czegoś nowego.

Myślę, że jest to najwybitniejsza z moich książek, ukazująca najlepiej to, co myślę o wszystkim, całym życiu wokół. Teraz cieszę się, że ta książka, której nie szło skończyć, gdzie są moje najlepsze historie, najlepsza narracja, najlepsze pomysły i scenariusz. Najbardziej rozbudowaną i nieoczekiwaną. Myślę, że złamałem tą książką pewne tabu, której jest jak nie dla innych, do dla mnie samego bardzo wyraźne. Cieszę się, że moją najlepszą, jak dla mnie, książkę, skończyłem dla mojej dziewczyny Patrycji Łaszcz. Cieszę się, że mój największy skarb, moją najlepszą rzecz jaką napisałem, tą książkę, dedykuje po długim czasie pisania, właśnie jej. A odkąd zacząłem ją pisać, nie chciałem nikomu dedykować.

Czerpie niewykorzystane inspiracje zewsząd. Ta książka dotyka mnie bardziej niż wszystko inne. Tworzyłem ją zbyt długo. Siedem lat. Historie były tworzone z drobiazgową ostrożnością i cały czas były dopracowywane, wybierając najlepsze wyjścia i zabiegi. To zdecydowanie najbardziej przemyślane i dopracowane moje dzieło.

Poprawki trwały dłużej niż przewidywałem. Ostateczna wersja, którą skończyłem w kwietniu 2009 jednak po kolejnym przeczytaniu przeze mnie, rok później, we wrześniu 2009, poruszyły mnie i kilka drastycznych zmian musiałem wprowadzić i oczywiście ostatecznie ją wydłużyć do drugiej części, by ostatecznie zawrzeć w jednym dziele cały zamysł wszystkiego co jest w tej książce. I teraz jestem w pełni z niego zadowolony. Z mojego Zbawiciela. Kończąc tą książkę dopiero w listopadzie 2009. Czyli parę miesięcy po tym, jak oficjalnie skończyłem pisać Serwatyzm. Lecz co dalej. Zobaczymy. Mam jeszcze parę szalonych pomysłów. Jednak teraz mogę być spokojny. Skończyłem mą najlepszą powieść. Przynajmniej najlepszą jaką stać było mój umysł napisać przez całe życie, aż do tego momentu, gdy mam 22 lata i jestem już w pełni, przynajmniej wg mnie samego, dojrzałym artystą i mężczyzną.

PS. Pisarze to kłamcy

(Oława – grudzień 2009)

FOTOGRAFICYZMOLIZM (FOTOGRAFIKA EKSPERYMENTALNA)

Oprócz starych tekstów La Perfidion, chciałbym przedstawić pewien projekcik, który pod postacią zeszytu w twardej okładce, powędrował w grudniu 2007 roku do rąk Patrycji Łaszcz jako prezent urodzinowy tworzony przeze mnie. Nie miałem pieniędzy by jej kupić cokolwiek, więc dostała ten zeszyt i krwisto czerwoną szminkę. Zeszyt ten, pod nazwą Palpitacja szczęki, przedstawiam, właśnie tutaj.

W dziele tym, 1 z 3ch części tego zeszytu pt: Bielszy odcień bieli, która tak

na fakcie, w zeszycie zajmowała nie jedną stronę, ile 48 pustych białych stron, z czego każda z nich kolejno miała taki tytuł:

„Biały człowiek na śniegu . Profesjonalnie ukryty bałwan. Kosmos w negatywie. Tabula rasa. Nowo obmalowana ściana. Nowo obmalowane drzwi. Nowo obmalowany sufit. Chmury z bliska. Mleczko do kawy. Niewidzialny człowiek widziany z lotu ptaka. Przeciwieństwo czerni. Światło jarzeniówki. Wioska we mgle. Himalaje podczas śnieżycy. Białka oczu. Niewinność. Pędzel, który wymaga rozpuszczenia. Sperma. Głębia przestrzeni dwuwymiarowej cz 1.Głębia przestrzeni dwuwymiarowej cz 2. Główny tytuł. Kameleon na Antarktydzie. Pingwin albinos płynący na krze. Yeti odwrócony plecami pożera człowieka. Pocałujcie mnie w dupe (napis z XIX wiecznej ryciny, widziany w podczerwieni). Kółko kontrole w tv się skończyło. Porażający biały smoking. Znaczące spojrzenie widziane oczyma niewidomego. Zaschnięte gówno. Próbka koloru mebli. Broda świętego Mikołaja. Robaki na ryby. Scena porno (ocenzurowana). Amfetamina. Ziarna ryżu przesypywane przez sitko. Artysta przed rozpoczęciem pracy. Artysta po rozpoczęciu pracy. Włosy Jima Jarmuscha. Sam środek wybuchu atomowego. Bibułki do skręcania tytoniu. Paleta kolorów daltonisty. Lewa tarcza zegara z bliska o godzinie 6:00. Zęby aktorki Hollywood. Gdy słowa nie mają już sensu. Okładka the Beatles. Wyładowania elektryczne. Wyprane firanki ułożone na pralce. Zmaterialiwany duch.”

Spróbujcie każdy z tych tytułów przypasować do tej białek kartki.

ANALFABETOALITEROTYCYZM

To właściwie projekt, który siedział w moim umyśle od bardzo dawna. Choć nie byłem jeszcze pewien co do nazwy, ale ta wydaje mi się najbardziej odpowiednia. Nie wiem co ostatecznie z tego wyjdzie. Nad tym jedynym projektem mam największe wahania ze względu na to, że fotografią zajmuję się od niedawna i nigdy nie widziałem w tym artystycznego rozmachu. Mimo wszystko, Patrycja zachęcała mnie do robienia zdjęć, bowiem i tak sama to uwielbiała robić, i tym była inna ode mnie.

Zazwyczaj wszystko to traktowałem jak zabawę. Nie miałem dobrego sprzętu, ani zbytnio pomysłów, traktowałem to jak zabawę. Choć mimo wszystko traktowałem zdjęcia jak sentymentalną błahostkę. Nigdy nie interesowałem się właściwie fotografią, choć były zdjęcia które mi się podobały, żadne z nich nie zachęciło mnie do wykonywania tej czynności. Jednak w pewnym momencie chciałem się za to zabrać, ale bez możliwości nic z tego nie wychodzi. No i aż dochodzimy do tego punktu o którym opowiem później, mianowicie projektu fotografowania kobiecych aktów i zrobienie z tego całego cyklu zdjęć.

Jeszcze dodatkowo dochodzi w ostatnim czasie fakt, że akurat mamy możliwość w końcu nabyć lustrzankę. Ogólnie to będzie aparat Patrycji, jednak ja nie omieszkam z niego nie korzystać. Nie wiem jak długo potrwa moja fascynacja fotografią, czy się właściwie w tym odnajdę, bo nigdy z tym nie miałem styczności i nie wiem czy jest to inspirująca sztuka, co więcej czy ta forma sztuki zafascynuje mnie.

Tak czy inaczej mam mnóstwo pomysłów na poszczególne sesje, a co więcej będę mógł fotografować to, co właśnie w rzeczywistości najbardziej mi się podoba. Bowiem nie lubiłem fotografii dlatego, że przedstawia ona rzeczywistość, od której chcę uciec. Robienie surrealistycznych, artystycznych zdjęć wymaga dobrego sprzętu, możliwości i talentu, w co powątpiewam. Jednak powoli się w tym odnajduję, jednak nie wiem co będzie później. Czy

fotografia ta mnie zainspiruje do większego stopnia.

Utworzyłem nowe miejsce, bo obawiam się, że ten projekt zdjęciowy wyrośnie poza mały projekcik należący do Nadserwatyzmu. Czuję podświadomie, że to będzie coś większego, jednak nie potrafię jeszcze na tą chwilę, ostatecznie nadać temu kształtu. Myślę nad paroma wyjściami. Film na jednej płycie, zdjęcia na drugiej. Czy też zakwalifikować to jako projekt Azyl, ale czy z tym nie będzie kłopotów. Jednak na filmie, jeśli ten powstanie, będzie nowa muzyka. Ale nie wiem czy sceny te będą na tyle świetne by je zamieścić na tworzonym projekcie Azylu, dementofobia. Ale to przyjdzie z czasem. Na razie zostaje to formą eksperymentalną, z której sam jestem ciekaw co wyjdzie, bo jako projekt nowy, nie wiem co mam się po tym spodziewać.

Jakoś przez czyste przypadki rządzące naszym wszechświatem, znowu powracam na ramy nowego projektu, tym razem fotograficznego, z nowymi tekstami i nie tylko. Wzięło się to wszystko z prostej przyczyny, jakoby, że ostatnio odbyła się właśnie moja i Patrycji sesja zdjęciowa, którą wykonaliśmy na modelce Nagiejmurze. Z zaskakującym wzrostem zainteresowania, właśnie powracam na łamy photobloga, by zaprezentować swoje zdjęcia, których napykało się kilka, a prezentowane zdjęcia były według mojego pomysłu. Bo widzę, że moich zdjęć u Patrycji i Murki jest najmniej.

Ogólnie wszystko się wzięło z jednej postaci, mianowicie od Richarda Kerna i całej praktycznie nowojorskiej awangardy z końca lat siedemdziesiątych z Lydią Lunch na czele, który to kierunek i pojmowanie sztuki wywiera na mnie ogromną fascynację. Kern zburzył mój porządek rzeczy, wywrócił go do góry nogami. To, o czym ja tylko myślałem, on to robi, a ja w nim czuję kogoś na zasadzie mistrza i mentora. Teraz ja zamierzam utworzyć za pomocą fotografii, filmu i muzyki coś, co można będzie nazywać sztuką.

Fotografia inspiruje mnie w ostatnim czasie najbardziej intensywnie, wbrew opinii, jaką sobie o tej sztuce wyrobiłem. Nigdy nie interesowało mnie uchwytywanie rzeczywistości, widoczków, ludzi, pejzaży, miejsc itd. A zdjęcia artystyczne wymagają dobrego sprzętu, pieniędzy, czasu i innych rzeczy, z którymi właściwie tylko zaczynam.

Jednak najbardziej co mnie interesuje w fotografii, to możliwość uchwycenia pięknego kobiecego ciała w całej swej okazałości. Bo ja jako mężczyzna uważam kobiece ciało za dzieło artystyczne same w sobie, które jednocześnie jest bardzo ulotne. No bo trzeba wziąć pod uwagę fakt, że starość jest nieunikniona a młodość nie trwa wiecznie. I jeżeli jest coś na świecie pięknego, jak kobiece ciało, zasługuje to na szczególną uwagę. Jednak zapewniam, że mimo małej osnowy nagości i w niewielkiej ilości erotyzmu, sesje te nie będą zwyczajnymi aktami, lecz totalnie nieprzewidywalnymi formami łączącymi różne gatunki sztuki.

Zatem szukam modelek do pozowania do aktów, oraz do zagrania w scenach filmowych w horrorze, który właśnie kręcę, traktujący o ludzkich fobiach i chorobach umysłowych.

Muzyka którą mam na słuchawkach przeszkadza mi się skupić. Nie mogę skondensować myśli w jednym punkcie i wycelować je tak, by z nich powstał jeden temat. Chwila, do końca kawałka. Leci Black rider, tytułowy. Kiedyś uwielbiałem coś tworzyć pod tą muzyką, wkręcając się w tematyki, wokół której oscyluje Waits. Były dla mnie inspiracją. Teraz jednak by się skupić, muszę zapuścić Nurse with wound.

Zauważyłem, że niemal zaczynając od zera, będę musiał niemal szkolić

się w fotografii. Zaczynać jeszcze robić zdjęcia, bo nigdy w zasadzie nie robiłem, od prostego aparatu cyfrowego, bez dodatku jakichkolwiek programów, rozpoczęła seria pierwsza. Przy drugiej zaś, przerzuciłem się na aparat lustrzankowy, który zakupiła Patrycja. Jednocześnie robiąc tym aparatem drugą sesję, z drugą modelką, przedstawiłem przemyślane wizje, dołączyłem do tego zdjęcia w lepszej jakości, oraz prostych programów. Mówiąc, będąc musiał się szkolić, miałem na myśli to, żeby przedstawiać swoje wizje na zdjęcia połączenia horroru, surrealizmu i erotyki, w jak najlepszym zdjęciu. Starać się robić coraz lepsze zdjęcia i by obróbka tego miała sens. No i rzecz jasna, poznawania kolejnych modelek do właśnie takich rozbieranych zdjęć surrealistycznych i takich też sesji fotograficznych.

Praca na razie idzie mi mozolnie, totalnie zaczynając od zera, praktycznie nie wiem jak się do tego przygotować. Może, że nie, że nie wiem, ile zajmuje mi to strasznie dużo czasu. Jakbym mógł, to bym siedział z modelką dwa razy tyle co teraz, czyli dwanaście godzin. Jednak na tym etapie mojej pracy nad różnymi projektami, z niewiadomych względów film, muzyka, performance, poszły w odstawkę, w postaci fotografii, grafiki i na końcu tekstu. Nie wiem czemu, ale znów ciągnie mnie do grafiki stałej. Czyli między innymi do rysunku, no i pokrewnej fotografii. Nie wiem czemu w moim mózgu coś się przerwało i z filmu, przeskoczyłem na książkę, którą pisałem dwa tygodnie bez przerwy, aż podczas pisania, paląc, widziałem coraz lepsze obrazy fotografii. Wymyślanie pomysłów na sesje i zdjęcia była płodna. Aż w pewnym momencie zacząłem rysować, chcąc narysować coś, czego nie da się nakręcić, opisać i sfotografować. Nie rysując nic przez półtora roku, moja kreska nie wiadomo jak rozwinęła się, a rysunki stały się bardziej dopracowane. Możliwe, że to przez stres i w zasadzie nudę.

Jednak rozłam tej mojej psychiki miał miejsce 10 marca. To był właśnie taki dzień, łamiący wszystko naraz. Pisałem Poschizofrenikę, aż po południu dostałem wiadomość, że spotykam się sam na sam z modelką. Cały dzień fotografując przypominałem sobie pomysły jakie chciałem zrobić, bo ostatnio poszły w odstawkę z lekka. Z racji, że nie mogłem fotografować tak, jak chciałem, czyli w negliżu. Wieczorem byłem tak zestresowany po tej sesji, że nie wiedząc na czym się skupić, musiałem zacząć coś robić z rękami. No i zacząłem rysować...

GULP! / Część 1. Schizo / Część 2. Young gods

Po wielu trudach, pięcioletniej pracy nad dwoma albumami, których mam serdecznie dość, kończę pracę nad Gulpem. Po Bangu i Palpitacji szczęki i innych pierdołach, które zamieszczam po całości na Serwatystycznej płytce - po tych trzech projektach około rysunkowych, oddaje ostatni w etapie komiks. W zamierzeniu miały one inaczej wyglądać, być bardziej rozbudowane itd., ale z kilku przyczyn (zbyt słaba forma, brak zainteresowania ze strony wydawców, zmęczenie materiałem itp.) kończę tą pracę, mając jej serdecznie dość. Zbyt mozolnie mi to idzie, zresztą, chcę się wziąć za coś nowego, a komiks w takim stanie, wg mnie jest zbyt słaby technicznie, jeszcze. Za jakiś czas, jak od tego odsapnę, wezmę się za coś nowego. Choć trudno mi będzie zacząć jakąś nową, wielką formę komiksową. Zbyt wiele czasu to pochłania. Lecz tym razem, gdy się na to zdecyduję, znajdę sposób, by zainteresowanie od strony wydawców, nie było obojętne.

Więc oddaję ten dwu albumowy wymęczony, przejarany komiks.. Wiem, że jestem beztalenciem i nie umiem rysować, bo jestem samoukiem, więc skoro to sobie już wyjaśniliśmy, proszę o niekomentowanie tego i jako-taką

wyrozumiałość. Pozdrawiam Serwatystycznie

Sztuka niskiego gatunku, drukowanego na papierze pośredniego gatunku, nie lepszym niż sraj taśma. Komiks to taka niska kultura, że aż w Belgii musieli otworzyć akademię dla rysowników i scenarzystów komiksowych. Komiks to taki śmieć, że aż niektóre komiksy są obowiązkową lekturą na poszczególnych studiach poświęconych kulturze XX wieku. A w Japonii, to już takie bezguście panuje, że 45% sprzedawanych książek w kraju, to komiksy. Nie mam nic więcej w kwestii do powiedzenia. Jeśli mam rację, to moja książka zyska uznanie i pozwoli mi przeżyć kilka tygodni, zanim spłodzę kolejne dzieło.

Bądź co bądź, wszystko ma swoją historię, nawet komiks.

Jak byłem mały, miałem kilka komiksów dla dzieci oraz kilka numerów punishera a następnie spawna, który wyszedł na rynku. W komiksie wówczas podobało mi się, że czytało się go, jednocześnie mając przed oczami obrazki. To było i nadal jest fajne uczucie, gdy czyta się coś, co może się skończyć za na przykład godzinę, przeczytawszy całość. Oraz rysunek, który był jakby animacją bądź filmem, którego cały przebieg historii na stronie, ułożył się w niemal animacje we własnym mózgu. Potem gdy kupiłem mangę dragon ball, u Japończyków występuje to, że rysunek w komiksie traktują jakby miało to posłużyć w animacji. Chociażby sceny walki niesamowicie narysowane. Błyskawiczny ruch, niezły kadr, i historia sama przeskakuje z okienko na okienko.

W dzieciństwie, największe na mnie robił wrażenie Spawn. Komiks odpowiadał mi klimatem jako horror, a także jako świetną rozrywkę i genialne rysunki. W owym czasie, w kraju, według mnie, nie było lepiej narysowanego komiksu. Były co prawda wydawnictwa albumowe, europejskie, ale kadry europejskie, może i są przepięknie narysowane, lecz dla mnie to są statyczne obrazy. Europejczycy traktują każdy kadr, przeważnie, jakby miał być dziełem sztuki. Był to jakby przełom, by zacząć rysować coś swojego. Chciałem także rysować komiksy, ale do rysunku w wieku 8-9 lat totalnie nie miałem talentu. Lecz dzięki McFarlane’owi zacząłem próbować, a także poznawać coraz to inne komiksy, z różnymi dziwnymi scenariuszami i odmiennymi kreskami.

Moi rodzice zniechęcali mnie i do komiksu i do rysowania. Ojciec mówił mi, że nie mam talentu, a komiksy to śmieci. Trudno mi było wytłumaczyć ojcu, póki mu nie udowodniłem, że komiks od 1989 jest uważany za sztukę. Że jest akademia komiksu w Europie, że artyści tworzący komiks, to nie amatorzy i żałośni rysownicy. Oraz, że można zdawać dyplom w liceum plastycznym w Polsce, właśnie z tego kierunku.

Uznałem, że obok muzyki i książki, komiks a zatem i rysunek, jest najbardziej odpowiadającą mi sztuką, którą chciałbym uprawiać. Lecz moje talenty mi nie pozwalały, a także zbyt młody wiek, na wymyślanie innych historii, niż opowieści traktujące o walce dobra ze złem, i dążeniem do zemsty głównego bohatera na kimś.

Z początku rysowałem w zeszytach, aż przerysowałem około 40 stron, tworząc niemal komiksową sagę, bo tak wielkich rozmiarów był ten scenariusz. Po pewnym czasie, zniechęciłem się zupełnie, widząc swoje postępy w rysunku, a jednocześnie zarzuciłem cały projekt, nad którym pracowałem około rok, uznając go za daremny. Potem zacząłem rysować znowu, tym razem na kartkach A4. Jednak praca była mozolna, długa i bezsensowna, bowiem rysunki nowe, nie różniły się zbytnio od starych, choć widać było lekki postęp.

Zarzuciłem rysunek, skupiając się bardziej na pisaniu i graniu. Jednak cały czas bazgrałem w zeszytach na lekcji. W ten czas, na rynek około 2002 roku, zaczęły pojawiać się pięknie wydane albumy amerykańskich twórców. Kultowe i genialne dzieła Gaimana, Moore'a, Ennisa, Ellisa i innych. Zacząłem chodzić do szkoły w Opolu, a dorabiając sobie, grałem na flecie pod empikiem, zbierając pieniądze na komiksy. Przez bardzo długi czas kupowałem tylko je aż nazbierałem kolekcję około pięciuset komiksów.

Wtedy powróciłem do rysunku i zacząłem rysować komiks, który zatytułowałem Mord. Nie miałem określonej koncepcji i dlatego niektóre motywy z poprzednich komiksów zostały zamienione tutaj. W tym czasie pozbyłem się wszystkich moich zeszytów z tamtymi komiksami, totalnie o nich zapominając. Próbowałem rysować dobrze, ale mi nie wychodziło. Jednak skończyłem Mord: Zemsta prawie po pół roku. Zrobiłem go totalnie na odpieprz się, bo historia mi się nie podobała, nie chciało mi się tak długo rysować, i chciałem zmienić styl, co mi się udało minimalnie, w następnym komiksie Klinika śmierci. Efekt w porównaniu do mistrzów komiksu, był oburzający. Po kilku dniach przerwy, spróbowałem czegoś zupełnie nowego, zupełnie nowej krótkiej historyjki w totalnie zmienionym stylu. Komiks rysowało mi się bardzo sprawnie. Miałem na niego sporo czasu. A potem nastały wakacje.

Podczas kończenia Defecto mutanti zacząłem pisać scenariusz do komiksu. Miałem w nim pewne założenia. Miała być to kilkunastostronicowa opowieść o dziwnych rzeczach, z dziwnymi bohaterami i śmieszną treścią. Niezbyt górnolotna, ale chciałem narysować coś na podstawie scenariusza, rysując jak najlepiej tylko potrafię. Jednocześnie rysując to, czego nie umiem – samochody, ludzi w ruchu etc., oraz nauczyć się ciekawego kadrowania. Całe wakacje, codziennie od 6 do 23, lub od 19 do 7 rano, siedziałem codziennie i rysowałem cały dzień, robiąc tylko przerwy na zjedzenie czegoś, pograniu na pianie, załatwieniu się i by znów wrócić do pracy. Chciałem skończyć ten komiks, który miał być jakby szkoleniem mnie, do końca wakacji, i z nowym rokiem szkolnym stworzyć coś nowego. W międzyczasie robiłem sporo rysunków, które potem skleciłem w niespójny komiks Ars? Z tekstem dodanym niedawno, po różnych dziwnych specyfikach.

Pod sam koniec wakacji zrobiłem zupełnie nową, dopracowaną kreską, parę stron i rysunków, które następnie przekształciły się w Young Gods. Komiks do którego napisałem cały scenariusz przez koniec sierpnia, mając wielkie ambicje na niesamowitą historię oraz niesamowicie dopracowany rysunek, będący czymś między karykaturą a surrealizmem.

Po jakimś czasie historia ta zaczynała mnie męczyć. Musiałem od niej odpocząć, bo zbyt wiele wątków chciałem w niej umieścić. Po czasie założyłem sobie, że zrobię świetny komiks, w kolorze. Miałby on 64 strony i byłby w kilkunastu odcinkach współtworzony z różnymi twórcami. Miałem kilkanaście pomysłów na około pięć serii, i wszystkie motywy wrzuciłem w jedną historię pod nazwą Gulp, która krzątała mi się od jakiegoś czasu w głowie. Chciałem ten komiks zrobić sprawnie i jak najlepiej potrafię, do tego stopnia, że mógłbym to gdzieś wydać. Narysowałem połowę a do drugiej zrobiłem tylko szkic.

Zostawiłem to bo nastał wtedy ciężki okres w moim życiu. Moi rodzice się rozwodzili, ja wyprowadziłem się z Opola olewając oby dwie szkoły, skończyłem 18tkę i poszedłem do pracy. Potem kontynuowałem jednak pisanie, wolałem to bardziej. Więcej myśli i historii można opowiedzieć niż w komiksie.

Potem przez zupełne przypadki rysowałem poznając skład Apteki Ćpuna,

oraz moją dziewczynę, wyprowadzając się do niej, tworzyłem mnóstwo rysunków do Young gods. Porzuciłem Morda – oby dwie części. I zacząłem rysować zupełnie inne rzeczy, totalnie nowe, tworząc rysunki tylko i wyłącznie po marihuanie. Rysunków nazbierało się tak wiele, a moja kreska wyostrzała się, stając bardziej realistyczna i dobra, aż stworzyłem cały tom Schizo. Uznałem, że kreska, historia i wszystko inne, najbardziej zasługują, ze wszystkich komiksów, na poświęcenie im pracy. Były najlepsze ze wszystkiego co narysowałem do 2009 roku. Stworzyłem scenariusz kilkunastu historii, zamkniętej w jednej wielkiej oraz dziwnymi rysunkami. W całości zrobiłem komiks po zjaraniu.

Potem nastało układanie wszystkich moich rysunków i komiksów i umieszczeni ich w tomach. Nie mogłem się zdecydować ile każdy ma mieć stron i ile ma ich być. W końcu zdecydowałem się na trzy tomy po 128 stron. Była to optymalna liczba stron w razie wydania, zwłaszcza, że komiksy były w czerni i bieli. Wolałem paperbacki i albumy od pojedynczych zeszytów, pokazywały całą pracę, skończone w całości dzieło, a nie serial, który i tak nie miałby żadnego sensu. Wolałem by czytelnik całą historię miał od początku do końca, bez żadnych – ciąg dalszy nastąpi… - jednocześnie nie nawiązując zbyt mocno do każdego kolejnego tomu. Może też za sprawą tego, że to jakby trzy okresy mojej twórczości komiksowej i trzy historie w innych stylach. Jednocześnie zaczynając historie, od najnowszej i najlepiej narysowanej aż do najstarszej – najgorszej. Jest to jednocześnie jakby całkowity przegląd najlepszych moich prac od 2003 roku aż do 2009. Reszta, nieudana, została przeze mnie spopielona.

Jest to jakby puenta, całej historii, która nie wyjaśnia niczego a jeszcze bardziej sprawia, że staje się nieczytelna i bez sensu.

Komiks mimo swego pozornego chaosu, ma pewien ukryty sens. Pierwsze dwa tomy zakańczają pewną ilość wątków, ale nie całą opowieść, którą można drążyć w nieskończoność. Sam nie jestem pewien wszystkiego, co jest w tej historii zawarte, bowiem nie jestem dosłownie jego twórcą. Są nimi istoty w liczbie cztery, które dyktują mi treść i sposób rysowania. Uwięziły mnie one w moim własnym mieszkaniu narzucając surowe metody tworzenia opowieści tychże istot. Opowiadają one prawdziwą historię, która zdarzyła się naprawdę, i zapewniam, że nie jest to fikcja literacka, ile całkowite przeniesienie jednego nierzeczywistego świata do rzeczywistego. Bez względu jak szalona i okrutna mogłaby się okazać prawda treści tej historii, gdy ją przeczytasz, to zrozumiesz jak zawładnie tobą i zmieni twoje życie.

Niestety nie mogę powiedzieć, że to genialna historia o szlachetnych bohaterach i zepsutych kryminalistach, ani też historia wzruszająca do łez. Właściwie sam nie wiem co to jest. Postmodernistyczny bohomaz, majaki ćpuna, czy też sen chorego surrealisty. Jest to o dziwo trzymająca się przysłowiowej kupy historia, której sens i cel jest niezbadany, ale kiedyś nadejdzie na pewno. Wtedy wszystko stanie się jasne. Teoretycznie. Jeśli jakiekolwiek zakończenie będzie miało miejsce. Bowiem nie wszystkie mają początek i zakończeni. Nie wszystkie też mają dobre zakończenia.

Mamy więc tu klaunów, szaleńców, jakuzę, szefa mafii, potwory, mutanty, pluszowego misia, kosmitów, detektywów, sny, bizony, morderców, punków, doktorów i zwykłych ludzi, którzy wbrew pozorom nie są tacy zwykli. To psychodeliczna jazda zaślinionego jednorożca idącego na spotkanie klubu córek przenajświętszych doprowadzonych do krystalicznej przejrzystości.

Nie mówię, że ten komiks to dzieło kultowe, że wam się spodoba i będzie cenione. Jednak na pewno zapadnie w pamięci. A jeśli to się stanie, zaprawdę

powiadam wam, jesteśmy zgubieni !

Oczywiście we wszystkim i wszystko dąży do końca, a koniec nawet kosmos ma. A więc tak, że jeśli ktoś coś robi lub czyta, czy jakoś tak, to nastaje ten, no, koniec. A koniec wymusza na sobie koniec, przy którym następuje puenta, czy jak to się tam pisze. A jeśli następuje puenta, akcji czy dowcipu, to niezawodny znak, że coś się musi wydarzyć innego, czyli coś musi być spuentowane, a ta dąży do końca. Jednak tutaj puenty nie ma i to jest puentą, czyli końcem.

Na bardzo długi czas zrezygnowałem z komiksu, oddając się pisaniu pięciu książek i pracowaniu nad swoim pierwszym projektem muzycznym Apteką Ćpuna. Jednak okres ten od października 2007 zaowocował tworzeniem pojedynczych rysunków, szkiców i krótkich historyjek, które wszystkie były narysowane pod wpływem marihuany. Oprócz samych rysunków, coraz częściej wpadałem na historię walki rzeczywistości z nierzeczywistością. Wymyśliłem przez ten czas na bieżąco kolejne historyjki, których wyszło dwanaście. Poukładałem je, rozwinąłem scenariusz, pozlepiałem rysunki i ustawiłem je w kolejności według scenariusza, z którego wyszło mi praktycznie 128 stron komiksu.

Oprócz marihuanowych dzieł, których fazy wpływały w znaczącym stopniu na rysunki i na sam scenariusz, moja kreska przeszła zupełną metamorfozę, i stworzyłem Żyletkarza. Chyba najbardziej na trzeźwo tworzoną historię. Oczywiście rysunki powstawały na trzeźwo, jednak cały scenariusz, był zlepkiem moich faz, których doświadczałem po gałce muszkatołowej. Cała koncepcja tego komiksu zawładnęła całym tym komiksowym projektem. To ona zadecydowała o tym, że dzięki tej koncepcji powstają historie bez głównych bohaterów, a jednocześnie, pomysł ten pozwala mi tworzyć różne historie bez związku ze sobą. W krótszych lub dłuższych formach. Ogólnie, cały komiks jest tak przejarany jak się tylko da. I w słowie i w rysunku.

Historia powstanie komiksu, sięga aż sierpnia 2004 roku. , a właściwie pod sam koniec, przed rokiem szkolnym, który zaczynał się w Opolu w pierwszej klasie liceum i trzeciej muzycznej średniej.

W tym roku zamieszkałem w bursie. Właściwie to jeszcze nadal nad nią pracuję. Opowiadanie zawarte w komiksie, opowiada o grupie Young Gods zamieszkującą pustynię, w której zachodzą wszelkie niewytłumaczalne zjawiska, które dla nich są naturalne, a dla nas totalnie odjechane i nienaturalne.

Początkowy okres tworzenia zaowocował tym, że odkąd zamieszkałem w bursie, ludzie z liceum plastycznego byli zainteresowani moimi rysunkami, o których pocztą pantoflową się dowiedzieli. I zachęcali mnie oraz uczyli niektórzy poprawnego rysunku. Z początku niektóre rysunki, były tak dobre, że ci myśleli, że jestem nie z muzycznej szkoły tylko z plastycznej. Wtedy zacząłem rysować z przerwami przez dwa lata 64 strony. Zbytnio nie miałem do tego zaangażowania na dłuższą metę. W sumie dalej nie mam. Kiedyś, gdy byłem parę lat młodszy, marzyłem o nieprzerwanym siedzeniu w domu i rysowaniu, ale ostatecznie nie mógłbym się na to zdobyć.

Young Gods to psychodeliczna historia cyberpunkowa, rozgrywająca się za dwa tysiące lat. Gdy nastał nuklearny Armageddon, ludzie nie przyswajali przez pewien okres życia nic poza LSD. Fabryki kwasu, jednak zostały zalane przez potop, który zamienił świat w jedną, wielką halucynogenna pustynię z której powstali ostatni zmutowani ludzie oraz ktoś im przeciwny. Osobnicy ludzcy skupili się w gangi, próbując przetrwać. Jednak jeden z nich pragnie odbudować świat, zniszczyć wroga i odnaleźć ostatnie miasto nie zmyte przez

wielki potop. Ten gang to właśnie Young Gods.
Dziś po praktycznie pięciu latach, cała historia, zaplanowana na całą mini serię, w której w skład miało wchodzić dwanaście zeszytów po 64 strony jeden zamieniła się w cztery historie. Wpłynęło na tą decyzję wiele miesięcy mozolnego tworzenia. Zacząłem zmieniać kreskę i tworzyć zupełnie inne historie. Nie chciałem przez kilkanaście lat rysować jednej wielkiej sagi. Nie miałem na to cierpliwości, bo rysowanie każdej strony zajmowało mi około trzech godzin i to nie zawsze miałem ochotę siedzieć przy nim cały czas, nie zajmując się innymi dziedzinami sztuki. Ominąłem wiele wątków, które mi się nie podobały, chcąc z sagi, zrobić niezrozumiałą do końca historię, totalnie abstrakcyjną. Zmieniłem zakończenie pierwotnego scenariuszu dostosowując najlepsze pomysły do rysunków których miałem na około czterdziestu pozostałych do skończenia stronach, tworzonych po różnych używkach. Ale to nie mało istotny problem. Ogólne przesłanie, najważniejsze i najlepsze pomysły, sceny które chciałem narysować i napisać, zrobione. Jestem dumny z tego komiksu, jako mojego dzieła, ale także, że udało mi się streścić ogólny sens, pomysły i historię, z około ośmiuset stron, na 128.
Oczywiście historia opisana w tym komiksie, zasadniczo odbiegła w moich myślach od pierwotnego założenia psychodelicznego cyberpunku, którym zapewne w zamierzeniu jest. Jest to jednocześnie historia Anioła, który jest na detoksie, którego w pierwszym zeszycie zabrali agenci, i z nierealnego świata w który zabrnął za daleko, w końcu wrócił do rzeczywistości, które symbolizuje miasto. Można oczywiście pomyśleć, że to historia kilku ćpunów, którzy spotykają się na pustyni i zażywają kwasa. Wtedy Syzyf, jedna z postaci, wymyśla sobie że jest reinkarnacją anioła bądź aniołem na detoksie. I ktoś nagle wkręca na kwasie, że muszą odszukać ostatnie miasto na ziemi, tworząc całą historię kim są. Można wtedy dwojako zinterpretować tytuły, pierwszy, że są na pustyni, biorą kwasa i wkręcają sobie historię. Drugi rozdział jest o ich ćpunskiej medytacji, trzeci o fazach jakie przeżywają a czwarty, gdy faza osiąga kulminację i zaczyna się kończyć. Wtedy wszyscy zastanawiają się, what is that shit?, i chodzi tu o towar.
Czytelnik sam obierze sobie koncepcje, które alternatywne spośród tych myślenia, zdoła przyjąć. Czy jako osobnej zupełnie historii, czy jako lekko powiązanej z pierwszym tomem historii, czy jako psychodeliczny cyberpunk czy jako historie ćpunów. A może jeszcze inną.

BANG!

Chciałbym zaprezentować coś dziwacznego. Rzecz, która nie jest żadnym moim projektem, który nadawałby się do publikacji.
Bang! to komiks, którego mam nadzieję nigdzie nie wydam. Umieszczam go tutaj praktycznie w całości (oprócz parunastu stron które wyeksterminowałem za pomocą kuchenki gazowej).
Komiksy w tym jednym jedynym tomiku tej serii są ułożone chronologicznie od roku 2003 do 2006. Wówczas go przerwałem i zacząłem rysować historię YOUNG GODS. Jest to całokształt mojej pracy, samodoskonalenia się. Wielkiej determinacji i surowych reguł jakie sobie narzuciłem wówczas. Bowiem nie wystarczył talent, którego do rysunku nie miałem, i chęć „chcę rysować komiksy”, które tak uwielbiałem.
Zacząłem rysować, jak każdy dzieciak, jakieś tam badziewne rysunki w dzieciństwie, z których żaden się nie zachował, pewnie za moją sprawą, bo je wszystkie wyrzuciłem i dobrze. Faza na komiksy i chęć ich robienia na poważnie powstała właśnie w 2003 roku, gdy wymyśliłem komiks MORD –

Zemsta. Pierwszy w tym tomiku. Wtedy ruszyło.

Rysowałem mozolnie, beznadziejnie i bez talentu. Wiedziałem, że mogę rysować dobrze, jednak wymagało to wielkiej pracy. Stworzyłem parę scenariuszy, które wymagały ode mnie rysowania mnóstwa rzeczy wg niego. Miała to być głównie sensacja. Komiksy w których dużo się dzieje. Postacie, miasto, samochody, sposoby kadrowania, perspektywa… wszystkiego uczyłem się sam rysując.

Z początku gdy rysowałem Morda, nie przykładałem się do tego. Wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Rysowałem po zeszytach na lekcjach i szkoliłem kreskę. Po kilku miesiącach narysowałem „Klinikę śmierci”. Mój chronologicznie drugi komiks. Szło mi lepiej, widać wyraźnie postęp po pół roku. Gdy skończyłem rzuciłem to i potem zacząłem rysować „Defecto mutanti” przykładając się do tego. Zdeterminowany i zachęcony przez przyjaciół z liceum plastycznego rysowałem dalej. Wtedy nadeszły wakacje i chcąc rysować dobre komiksy, mieć swój styl, kreskę, zacząłem rysować historię polegającą na samej akcji, mianowicie „Co skrywa cyborg”. Pierwsze 20 stron rysowałem na formacie A3 a resztę na A4. Wolałem mniejszy format, do tej pory lubię, nie rozprasza i nie demotywuje.

Całe dwa miesiące wakacji właściwie nie robiłem nic tylko od rana do wieczora rysowałem, robiąc tylko przerwę na jedzenie i kibel i 2-3 godzinne ćwiczenie na pianinie. Po nocach czytałem komiksy, książki, oglądałem filmy i pisałem opowiadania, które potem znalazły się w zbiorze „Nocne opowieści”. Pod koniec wakacji, moja kreska diametralnie się zmieniła. Zacząłem rysować YOUNG GODS. Robiłem to powoli i w miarę dokładnie i potem zarzuciłem to na rzecz filmu, muzyki i książki. Bang to całokształt mojego trzyletniego szkolenia. Nie miałem nauczyciela i nikt mi nic nie doradzał właściwe wtedy. Wszystko robiłem sam. Teksty nie są ważne. Umieszczam to tutaj tylko po to, by się to mi nie zgubiło. Kilka motywów zostało zaadoptowane na inne dzieła min. Na komiks GULP oraz na film.

“$#®%@!”

…jest wydaniem zbiorczym kilkunastu projektów, foto-graficzno-tekstowych eksperymentów, realizowanych od 2003 i skończonego w 2015 roku. – Część Fotograficzna przeważa na projektach Serwatyzmu. Tutaj został podzielony na fotografikę w „XYZ” oraz wcześniejszy „GULP”, który zebrał wszelkie prace komiksowe, zebrane w tym albumie. Oba, jako eksperymentalny komiks e-book, opatrzony został przeze mnie powyższym „Aagh!” – czy cokolwiek komukolwiek się z nazwą kojarzy.

Opublikowanym w całości, w tej formie w 2016 r. jako bezpłatny album e-book, zawierający wszystkie prace, zazwyczaj słabe i nieskończone. Nazwa powstała jako jedna z ostatnich, przypadkowych, głupich określeń, właściwych dla artysty bez wyobraźni. Ostateczna wersja nie była do przewidzenia, jak będzie wyglądać. To jeden z tych projektów będący za słaby by go publikować, a za dobry by porzucać. Nigdy nie będący dobry, nawet za kolejną dekadę. Niektóre rzeczy rodzą się z natury skazane. Ostatecznie jest to przykład, że wieloletnia praca i niezłomny upór by zakończyć ten cholerny projekt (by móc spać spokojnie i w końcu przestać o tym myśleć) nie zawsze kończy się sukcesem, czy czymś nawet będącego jego namiastką. Jest poligonem doświadczeń i prób realizacji tego, co dopiero niedawno zaczęło mi wychodzić w dzieło pt: „SOMNAMBULORIUM” które mam nadzieję opublikować drukiem.

...SORCA

Od tamtej pory zdarzyło się tak wiele, że musiał bym książkę napisać.

Po moim zażegnaniu miasta Opola, i rozwodzie moich rodziców, zamieszkałem z matką i oddałem się fizycznej pracy, skupiając tylko i wyłącznie na tym, co mi najbardziej zależało w życiu, mianowicie sztuce. Przede wszystkim stawiając pisarstwo na pierwszy plan. Przez cały ten czas nie miałem ani chęci, ani ochoty wracać do jakichkolwiek szkół, bowiem – co się nie zmieniło – by pisać, czy też uprawiać jakikolwiek rodzaj sztuki, są ważne znajomości i fart. Dopiero teraz powracam do nauki, od najbliższego września, do liceum. Głównie dlatego, że brakuje mi wiedzy, która uzupełniała by to, co robię. Środki narkotyczne różnego typu, które zażywałem tylko po to, by urozmaicić swoją sztukę, oraz uaktywnić wrażliwość oraz elementy mózgu, które wpłynęłyby zupełnie inaczej na to, co robię.

Będąc niewyżyty artystycznie i emocjonalnie, skupiłem się na mojej teorii sztuki, odnoszącej dziedziny sztuki: muzyka, film, fotografia, rysunek i słowo, odpowiednim zmysłom człowieka, dążąc do łączonych form w celu stworzenia jednej wielkiej sztuki, zsyntetyzowanych wszystkich powyższych pięciu dziedzin sztuk.

Po roku siedzenia na dupie, mając 19 lat, wyprowadziłem się do Laskowic, gdzie zamieszkałem z dziewczyną, z którą byłem prawie trzy lata. Jednak po czasie związek ten zaczął niszczeć, przez moje chore fanaberie dotyczące sztuki, która jest dla mnie najwyższą świętością i najbardziej znaczącą dziedziną życia człowieka, której się całkowicie poświęciłem. Przez cały czas trwania tego związku, przez owy czas stworzyłem projekt muzyczno-filmowo-fotograficzno-słowny z dwoma przyjaciółmi, o nazwie Apteka Ćpuna. Graliśmy na scenie jako zespół psychodeliczno-rockowy o nazwie Horyzont, a projekt Apteki Ćpuna zakładał granie i eksperymentowanie czysto studyjne, których efektem miały być teledyski / videoarty (patrz: youtube). Po 3ch latach zamknęliśmy projekt, bowiem każdy z nas był indywidualistą, pragnącym robić coś swojego. I tak Maciej porzucił muzykę skupiając się na studiach, niezdecydowany własnych przekonań i talentu, a Grzegorz założył projekt ReeChart i przeniósł się do Krakowa.

W międzyczasie powstały też fotografie, także takie na których zarabiałem (fotografowałem dziewczyny za pieniądze, często zahaczając o soft porno), komiksy i inne projekty, które można ściągać z mojego bloga Serwatyzm.blogspot.com. Są na nim także filmy, które kręciłem z chłopakami z bursy, za czasów gdy tam mieszkaliśmy. Wszystko to oczywiście było formą eksperymentalną, której się poświęcałem, chcąc się wypowiedzieć w każdej z dziedzin sztuki i odszukać tą właściwą sztukę.

Po tym czasie, w roku 2010 mój związek się zakończył, a ja przeprowadziłem się ponownie do Oławy, zamieszkując tym samym z ojcem. Związek ten skończył się z mojej winy, ponieważ dziewczyna moja była dała mi ultimatum, albo ona, albo sztuka, wybrałem to drugie. I nie żałuję. I nigdy nie będę. Przez ten cały czas imałem się różnych robót fizycznych, by tylko mieć na słowo honoru pieniądze na najpotrzebniejsze wydatki i moje nałogi, które w każdej chwili mogę rzucić, ale nie chcę.

Tak czy inaczej, zerwanie to bardzo niekorzystnie na mnie wpłynęło. Złamało mnie doszczętnie, bowiem jestem niestety romantykiem, który, gdy ofiaruje się kobiecie, zamierzam być z nią do końca świata. Taki monoteizm idiotyczny całkowicie nieadekwatny do czasów w jakich przyszło nam żyć.

Pod koniec tego samego roku 2010 związałem się z o wiele młodszą od

siebie kobietą ze Szczecina, która robiła gimnazjum z profilem filozoficznym i następnie liceum ekonomiczne, jedno z pięciu najlepszych w Polsce. Przeniosłem się na jakiś czas, pół roku właśnie do Szczecina, gdzie zainteresowałem się filozofią. Przez ten cały czas pisałem i piszę, stawiając sobie za cel jedną książkę rocznie i dodatkowo jakiś projekt, dziś powieści graficzne i komiks, które zamierzam owe dwie dziedziny prowadzić cały czas, nie skupiając się i porzucając inne formy sztuki.

Dziewczyna zostawiła mnie, pragnąc być wolna. Drugim powodem natomiast była przeciwność do poprzedniego związku. Chcąc naprawić błędy poprzedniego związku, tym razem chciałem przeważyć skupienie się na kobiecie, którą kocham, kosztem sztuki, której liczne projekty zażegnałem, skupiając się tylko na dwóch dziedzinach. Chciałem to zrównoważyć, jednak mi się nie udało. Dziewczyna ta zostawiła mnie, mówiąc mi, że to dla mojego dobra, bowiem powinienem poświęcić się w większej mierze sztuce, a nie jej.

Dopadło mnie ogólne bezrobocie i marazm, który uniemożliwił mi podjęcie jakiejkolwiek innej drogi, jak skupienie się na zarabianie nieistotnych pieniędzy. Jestem ascetom, któremu niewiele potrzeba do życia.

Zrażony do życie, olałem ludzi, siebie i wszystko inne, skupiając się tylko i wyłącznie na tym, co robię. Stałem się jeszcze bardziej cynicznym skurwysynem, niż zazwyczaj byłem, ale stałem się bardziej otwarty, wyrozumiały i nabyłem przydatną umiejętność samokontroli ciała i umysłu.

Pod koniec roku 2011 przeprowadziłem się na powrót do matki, u której mieszkam, niestety, do dziś, głównie z tego powodu, że jest to dla mnie wygodne. Mogłem poświęcić się w ten sposób, egoistycznie, samemu sobie, w którym to stanie izolacji od ludzi i świata poświęcałem się eksperymentowaniu z narkotykami, balansowaniu na krawędzi życia, i pisaniu. Robiąc wszystko po to, by każda kolejna książka, którą kończę była inna, nieporównywalna w żaden sposób z poprzednią.

W roku uprzednim, po wszystkim, ponownie otworzyłem się na świat, którego mi zabrakło i zacząłem współpracę z wrocławskim stowarzyszeniem artystycznym sztukater, na którym portalu pisałem recenzje komiksów, aż do momentu, gdy stałem się przez jakiś czas redaktorem działu. Do tego dochodziły wywiady, które przeprowadzałem z twórcami tejże sztuki, a także publikowałem tam swoje wczesne opowiadania, pisane za czasów Opola. Poznałem doktora nauk humanistycznych z Zielonej góry, który w pewnym stopniu promuje mnie w swoim piśmie artystycznym Grinzin w którym pierwszym numerze pisma ukazały się moje dwie recenzje i komiks (pismo jest do pobrania na Facebooku za free w pdf). Następny numer, jeśli dobrze pójdzie, ukaże się oficjalnie na rynku, jeśli oczywiście dr Łukasz Musielak wywalczy numer ISBN. W następnym numerze ukaże się mój artykuł dotyczący powstaniu i rozwoju sztuki komiksowej na świecie i w Polsce, jak również kolejny komiks.

Na początku tego roku wydawnictwo Miniatura wydało moją prozę poetycką, zatytułowaną „Pieśni końca świata”. 13 kwietnia pojawię się w Krakowie na spotkaniu i „biesiadzie aforystów”, na którą zostałem zaproszony. Stało się to w momencie, kiedy pogodziłem się, że żadna z moich książek (o innych projektach swoich nie myślałem publikować), ani nic innego nie zostanie kiedykolwiek wydana, głównie z faktu, że nie mogę się wstrzelić ani w czasy, ani w profile wydawnicze jakiegokolwiek wydawcy. Wtedy, kiedy przestało mi zależeć na publikacjach, w momencie, gdy pogodziłem się, że i tak do końca życia będę płodził moje nieśmiertelne płody aliterackie, nagle

zostałem wydany. I, kurwa, wydali mi coś, co napisałem 7 lat temu. I to ja jestem cyniczny

Obecnie jestem chwilowo bezrobotny, szukam pracy. Poprawiam dziewiątą książkę, piszę następną i pracuję nad komiksem. Myślę o szkolę, ale nie wiem jak się moje losy potoczą do tego czasu. Walczę o kolejne publikacje. Skupiłem się jedynie na książkach i komiksach. Zakończyłem różne dziwne etapy mojego życia, które przypominały kolejne epoki naszej ery, w której jedna budowała coś, by następnie przewartościować wszystko i zburzyć. Ale sądzić mogę, że życie każdego człowieka wygląda podobnie.

Spontanicznie prowadzę bloga czarnemorze.blogspot.com, na którym umieszczam głównie projekty już publikowane, oraz te, w celach reklamy.

Mimo wszystko, po tych latach, dalej jestem cynicznym idiotą, sceptycznie nastawiony do świata, i popierający jedynie tych, którzy są mi pokrewni myślami. Tak, jak było zawsze utrzymuję kontakty i poznaję ludzi ze skrajnych światów, albo artystów i wykładowców z doktoratami, albo przeciwnie, degeneratami i dilerami itp. Pomaga mi to zrównoważyć siebie i urozmaicić wszystko. Dopiero teraz, gdy za niedługi czas stuknie mi ćwierćwiecze egzystencji na tej wspaniałej planecie, która mimo postępu dalej wierzy w wymyślonych przez siebie bożków, podsumowuje i odnawiam kontakty, które z różnych powodów potraciłem. Dopiero wspaniały Facebook pozwolił mi na odszukanie różnych ludzi, do których nie miałem kompletnie żadnych namiarów.

Trudno streścić te wszystkie lata ostatniej tułaczki przez życie, mieszkając w różnych miejscach itd. Skupiam się na pisaniu przede wszystkim. Znów próbuję szukać kolejnej miłości mojego życia, która będzie potrafiła wytrzymać z kimś, kto potrafi zamknąć się w pokoju na np. 48h i pogrążony w transie pracować nad tekstami. Ale jestem realistą, jak zawsze, i nie sądzę, by to kiedyś się zmieniło.

Jeśli masz ochotę zajrzyj na Serwatyzm.blogspot.com i pościągaj sobie to, co tam zamieściłem. Na stronie tej znajduje się ponad dziesięcioletnia moja praca nad różnymi projektami. Nie ma tam wszystkiego. Całość mam na specjalnej płytce, którą rozdaję wszystkim, kto chce mnie poznać (tylko sztuka tak naprawdę mówi cokolwiek o człowieku). Niektóre rzeczy np. filmy Styropianowe życie oraz Zupy Regeneracyjne, na pewno obudzą coś na kształt sentymentów. Może za jakiś czas będę mógł podarować Tobie, albo wysłać np. pocztą, ową płytę. Na owych blogach nie ma jedynie moich książek, które są w trakcie rozsyłania i oceniania przez wydawców, ani też w całości nowych, profesjonalnych projektów, nad którymi obecnie pracuję. Niektóre z książek wysyłam na maila. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, zajrzyj na te strony. Mogę również wysłać Ci moją książkę „Osobistości", której nie planuję wydać (przynajmniej nie teraz). Jest to w pewnym sensie coś na kształt pamiętnika z elementami filozofii i fantastyki, w której to powieści pokrętnie i bezpośrednio opisuję to, co przedstawia owy list.

Przepraszam za ewentualne błędy, literówki, gramatykę w powyższym tekście. Oraz za to, że przez ten czas się nie odzywałem, z różnych powodów. Przepraszam, że się tak rozpisałem. Nigdy nie mogę się wygadać. Powinienem zostać pisarzem. Pomyślę o tym.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, i że napiszesz mi równie wyczerpujący wywód. Tymczasem.

„ars longa vita brevis”, które określenie jest rozumiane przeze mnie „sztuka długa, życie krótkie” interpretowane przeze mnie nie „ta sztuka jest za długa, szkoda życia, idziemy na piwo”, lecz „wy umrzecie, a sztuka będzie trwała nadal”.

W zasadzie przede wszystkim jeśli kogoś będziecie winić za powstanie tej książki, która w zasadzie nie miała powstać, to listy z pogróżkami wysyłajcie na adres pani Patrycji Morawskiej, przez którą powstał ten swoisty tomik pseudo poezji, a ja ulegając wpływom niezwykle pięknej kobiety zgodziłem się na to, widząc jak tych gównianych wierszy napłodziłem. Mówiąc szczerze nie jestem z tej książki zadowolony, ale pewnie po kilku miesiącach znowu zmienię zdanie, tak jak w przypadku każdej książki którą piszą, uznając każdą kolejną za genialną. Teraz uznaję, że to najgorsze gówno jakie napisałem a niektórych tekstów, zwłaszcza wierszy które płodziłem w okresie już nie młodu ale dzieciństwa, które uchowały się gdzieś tam, niestety. Obiecuję, że następna książka będzie lepsza. (Ta, obiecanki cacanki.)\

***

UWAGA!

Przed Tobą DZIESIĘCIOGODZINNY TELEDYSK, podzielony na cztery części, które z kolei składając się z podczęści w liczbie 99. – Zbiory, po trzy godziny jeden. krótkich teledysków filmowych video-artów, nakręconych przez Aptekę Ćpuna i Serwatyzm. – Tego jeszcze nie widzieliście! – Niniejsza Płyta DVD-Video, jest jedną z czterech części Multimedialnego projektu eksperymentalnego Imprintu

sorca_88@o2.pl [03.V.2013]

Specjalne podziękować pragnę Urszuli Chomicz – za zainteresowanie najbardziej wartościową rzeczą, określającą mnie jako tzw. artystę, a nie jako człowieka, którym jestem nędznym, przez co nigdy nie zostanę bogiem.

RIKI – TIKI

staje się miejscem pokojowej manifestacji, mającej na celu propagowanie legalizacji

APTEKA ĆPUNA POLECA:

01. MARIHUANA / HASZYSZ
02. AMFETAMINA / METAAMFETAMINA
03. EKSTAZY
04. GRZYBY HALUCYNOGENNE - PSYLOCYBINOWE /
05. PIPILZINTZINTLI / SALVIA DIVIONORUM
06. GAŁKA MUSZKTOŁOWA.
07. LSD
08. SINTETIC MIX SMOKES / KAVA KAVA
09. ALKOHOLE - ABSYNT
10. NIKOTYNA / KOEINA + BARBITURANY

„MARIHUANA JEST Z KOOPI?”

Co roku w okolicach 23 maja, Warszawa staje się miejscem pokojowej manifestacji, mającej na celu propagowanie legalizacji marihuany oraz innych pochodnych konopi. Popierającym tę inicjatywę jest m.in. Samuel – 21-latek z Jelcza-Laskowic, oficjalnie lakiernik proszkowy, mniej oficjalnie pisarz,

rysownik i muzyk. Dlatego też zamierzał on wybrać się na Marsz Miliona Brantów, który w tym roku mógł przybrać dosadniejszą formę. Powodem tego jest coraz większa niechęć polskich polityków do Marihuany, coraz częstsze „trzepania” (sprawdzanie przez policjantów, czy delikwent posiada przy sobie narkotyki) oraz głośna Ustawa Antydopalaczowa. Za jej sprawą wycofano ze sprzedaży w Polsce wiele dotychczas legalnych substancji psychoaktywnych. Co ciekawe, pod ustawę antydopalaczową weszły same substancje pochodzenia roślinnego.

Ostatecznie Samuel jednak zrezygnował z wyjazdu na Marsz Miliona Blantów. Obawiał się bowiem, że może wydarzyć się coś, co przysporzy mu kłopotów. Rok temu np. manifestujących zaatakowała grupa skinheadów, pomimo że manifestacja była pokojowa. Jednak nie spodziewał się, ile miał racji w swoich domysłach. Podczas tegorocznego marszu zostało aresztowanych 47 osób. Okazało się, że miały one przy sobie marihuanę i amfetaminę. O dziwo jednak rok temu nie doszło do żadnego aresztowania.

Tu nasuwa się pytanie, dlaczego w Polsce panuje taka fobia na punkcie narkotyków? Nie ma w Europie drugiego takiego kraju cierpiącego na tak wielką fobię narkotykową i do tego tak źle ukierunkowaną – mówi Samuel, który obeznany jest z danymi statystycznymi i wynikami wielu badań z zakresu szkodliwości substancji. Często zastanawia się on, dlaczego Polacy tak obawiają się roślin, a nie chemii. Także i mnie postanowił zainteresować tą sprawą.

Jak widać, legalne u nas nikotyna, alkohol i kofeina, wywołują mocniejsze i szybsze uzależnienie niż zakazana marihuana, grzyby psychotropowe czy meskalina.

Niechęć do konopi argumentuje się zazwyczaj takimi negatywnymi skutkami jak: zmęczenie, mniejszy popęd seksualny, pogorszenie pamięci, problemy z koncentracją, zły wpływ na układ rozrodczy i system odpornościowy. Powszechnie wiadomo jednak, że alkohol i papierosy wywołują podobne, a często i gorsze skutki. Nadużycie napoi alkoholowych powoduje dodatkowo agresję, niszczy wątrobę i doprowadza do ogromnego wycieńczenia organizmu (tzw. kaca), zaś papierosy uzależniają natychmiastowo i powodują ciężkie choroby płuc.

Opinie co do możliwości uzależnienia się od konopi są sprzeczne. Część naukowców uważa, że może ono wystąpić jedynie na tle psychicznym. Amerykańscy naukowcy z National Institute on Drug Abuse uważają jednak, że marihuana może powodować równie silny nałóg co heroina czy kokaina. Wszyscy jednak zgodni są co do tego, że alkohol, papierosy oraz narkotyki twarde zabiły wielu ludzi, a zbyt duża ich ilość powodowała przedawkowanie. Nie stwierdzono nigdy śmiertelnej ofiary palenia konopi czy też jej śmiertelnego nadużycia.

Wszystko zależy od punktu widzenia

W Polsce od 2000 r. obowiązują przepisy, zgodnie z którymi zabronione jest posiadanie każdej ilości narkotyków. Grozi za to kara do trzech lat pozbawienia wolności, a w przypadku mniejszej wagi kara grzywny, ograniczenia wolności lub pozbawienia wolności do roku.

§1 Kto, wbrew przepisom ustawy, posiada środki odurzające lub substancje psychotropowe, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.
§2 Jeżeli przedmiotem czynu zabronionego, jest znaczna ilość środków

odurzających lub substancji psychotropowych, sprawca podlega grzywnie i karze pozbawienia wolności do lat 5.
§3 W wypadku mniejszej wagi, sprawca podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku.
(Art 62 ust.3 ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii)

Prawo nie przewiduje zróżnicowania kar w zależności od rodzaju narkotyku. Posiadanie marihuany czy haszyszu grozi tym samym co posiadanie heroiny bądź morfiny. Kodeksy prawne nie biorą pod uwagę przepaści między szkodliwością konopi a szkodliwością narkotyków twardych.

Wyjaśniła mi to nieco dawna znajoma Samuela, pani Elżbieta, pedagożka z jego byłego gimnazjum. W szkołach i w gabinetach psychologów traktuje się konopie na równi z innymi narkotykami. Jednak punkt widzenia szkolnictwa nie bierze się z zapatrzenia w polskie prawo, lecz z doświadczenia. Wiele razy mieliśmy do czynienia z sytuacjami, kiedy narkotyki przysporzyły komuś dużych problemów. Nie ze strony nauczycieli, rodziców, lecz kolegów i koleżanek. Pani pedagog opowiedziała mi historię pewnego chłopca, który regularnie przychodził pobity do szkoły. Okazało się, że był winny komuś pieniądze za „towar”. Zauważono również, że często pod szkołą czeka na niego kilku dryblasów w niezbyt zachęcającej postawie. Konieczna była zatem interwencja policji, która mogła, niestety, tylko ostrzec chłopca i doradzić mu powrót do domu inną drogą.

Poza granicami Polski

Dopalacze.com. to sklep angielski, który swoje filie posiada w całej Europie. Polska jest właściwie pierwszym krajem, który postanowił się z tą działalnością rozprawić. Reszta krajów europejskich nie widzi w Dopalaczach żadnego problemu. W innych krajach ludzie nie mają takiego problemu z przestrzeganiem prawa – mów pan Tomasz – Polacy zaś mają we krwi łamanie prawa. Głównie z powodu nieudolności władz, jakie stoją na czele kraju od wielu lat. Ten „obowiązek” łamania prawa nie wychodzi nam na dobre. Wystarczy posłuchać, jak mówią o nas za granicą.

Narkotyki a sztuka
Jak nadmieniłam wcześniej,

A jednak…
Mimo tego wszystkiego nasz rząd coraz mocniej rozprawia się z każdym, który może mieć jakikolwiek kontakt z palonymi konopiami. Podział społeczeństwa w kwestii narkotyków staje się widoczniejszy z dnia na dzień. Zwolenników palonych konopi wciąż przybywa, podobnie jak ich przeciwników, u których niechęć do nich przybiera coraz gwałtowniejsze formy.
A co na to sam Samuel?
Problem legalizacji konopi leży trochę głębiej niż tylko w kodeksie prawnym.
Czyżby Holandia po mału przestawała być narkotyczną stolicą Europy? Na to wygląda. Mimo wszystko, widać w Czechach umieją tego używać. Czemu tak nie jest w naszym kraju?

Oława, 12 grudnia 2010 – 10 lipiec 2012

IN VITRO (Poczęto pisać owe IN VITRO W Oława, Oława dn. 21 września 2005 rok.)

***